

CHOROBY WIERU.



CHOROBY WIEKU.

STUDJUM PATHOLOGICZNE,

PRZEZ

Dr. J. Miaszczyńskiego.

Ducha nie gaście.

S. Paweł do Thessalon. R. V. 19.

Trudno tym, co w pieniądzech ufają
wnieść do Królestwa Bożego.

S. Marek R. X. 23.

Pamięci niepraktycznych ojców naszych
ten ubogi krzyżyk na mogile postawił.

J. J. K.

Tom I.

W I L N O.

Nakładem Księgarni p. f. RUHENA RAFAŁOWICZA



1857

Krasz-1592 5

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia
w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby
exemplarzy. Wilno 8 Pazdziernika 1856 roku.

Cenzor, PAWEŁ KUKOLNIK.

w Drukarni M. Z. Typografa.

1905 1 26

I.

Jeden z najdowcipniejszych niedowiarków naszych czasów, H. Heine, który się naszydził i z siebie i ze świata w ciągu utraconego życia, niemiec sercem, francuz głową, nie widząc nigdy do siebie, choroby sceptycyzmu na którą i on i pisma jego bolały, wyrzekł w swém dziele o Niemczech, kilka słów dziwnie trafnych o dziewiętnastym wieku. Udało się ślepój kurze ziarnko znaleźć — posłuchajcie.

„Pieniądz, powiada, jest początkiem i końcem wszystkich dzisiejszych dzieł ludzkich,

to téż gdy wznoszą budowę, pamiętają dobrze by na węgielnym kamieniu złożyć kilka sztuk monety, różnego rodzaju grosze zamknięte w skrzyneczce.

Tak—w średnich wiekach, wszelki gmach, każda budowa z kamienia czy z ducha, kościół i państwo spoczywały na wierze w wartość krwi, w krwawych ofiar znaczenie, dziś wszystkie ustawy i instytucje mają za zasadę pieniądź tylko, pieniądź sam i nie więcej. Krwawa religja średniowieczna była przesądem (według żyda Heinego), religja gołowego grosza, jaką widzimy za dni naszych jest egoizmem. Rozum targnął się na pierwszą, uczucie obali drugą... Pesada na której się oprze kiedyś społeczność ludzka, lepszą będzie, i wszystkie wielkie serca dni naszych, boleściwie pracują nad jej wynalezieniem.“

Póty Heine: to co powiedział po swojemu, mięszając fałsz z prawdą, silnieć się jeszcze daje uczuć ludziom wiary i serca niż

jemu, człowiekowi fantazji utartéj ze sceptycyzmem, w mózdzierzu niemiecko-francuzkim. Któż spojrzawszy na świat dzisiejszy nie boleje i nie przeczuwa smętnie przyszłości jaką sobie czcią cielca złotego gotuje. Na nieszczęście, takeśmy daleko w téj fałszywéj zabrneli wierze, takeśmy ją wyrozumowali, uzacnili, ubrali w złociste słów strzępki i pozornie piękne zasady, że wszelkie pokuszenie się przeciwko panującemu błędowi, zuchwalstwem się wyda i fałszu obroną. Ale nie wyrzec co się myśli i czuje w obec tego kierunku, u nas zgubniejszego niż gdzie indziéj, nie podobna, choćby się przyszło na śmieszność i szyderstwo, choćby na odrzucenie pogardliwe narazić.

Cichą i ubogą protestacją, niech będzie to słówko nasze, i na prędce skreślony obrazek.

II.

Wnijdźcie ze mną do tego domu, który się tam wznosi na pagórku, w tak pięknój okolicy wśród drzew, bielejąc czołem spartem na kolumnach—nie prawdaż że tu miło i pięknie—a nadewszystko jak porządnie!! jak porządnie! jakie do koła drogi, co za mosty, jak urządzony płodozmian, jakie przepyszne zabudowania gospodarskie, — i znowu — co za wzorowy porządek! Aż miło spojrzeć, że i my już tak czysto po niemiecku umiemy się uregulować.

Nie poznasz kraju swego w tym zakąt-

ku tak przerobionym i urządzonym z cudzoziemska! Wioska pod sznur, chata w chatę jak jedna wedle rysunku i rozmiaru danego stawiane, ogródki rozmierzone pod cyrkiel, płoty jednej wysokości, ulica jak strzełiła, drzewka stoją przy kółkach poprzywiązywane jak dzieci u boku guwernerów... wszędzie przy zmianach paliki z napisami, z numerami, w lesie policzbowano zapusty i wręby, na błotach nieużytki, wydmy nawet piaszczyste weszły w rachubę... prześlicznie! precudownie!

Wyobrażam sobie, że holender lub szwab, któryby tu przyjechał jakim wypadkiem, serdecznieby się zapewne uradował i wykrzyknął by z głębi przepelnionego serca niosąc dzięki niemieckim Bogom:

— A! nareszcie — zniemczeli i słowianie i nabrali rozumu... wkrótce niestanie ich i cały Boży świat pojdzie vorwärts! z nami, chórem śpiewając Germania!

Ale nam starym, zdzieciniałym, niedo-
 łężnym i zapewne ograniczonym ludziskom,
 co tośny od kolebki przywykli do nieładu
 naszego, do nieopatrzności posępnój, do wód
 naszych ukochanych — czegoś smutno i tęs-
 kno za tą poezją, którą żelazny sznur geo-
 metryczny i linje agronoma i te wszystkie
 ulepszenia kieszeniowe, wyganiają gdzieś
 precz daleko!

Zdaje się nam, że z tak wzorowie urzą-
 dzonego kraju i ptaki gdzieś zamilkłszy po-
 uciekały, w dzikszych lasów ustronia, i
 kwiaty Boże nikomu na nie przy sianych
 pastwiskach niepotrzebne, bez pozwolenia
 uczonego agrykultora rosnać i rozkwitać
 nieśmiają, i powietrze inne a cięższe i oko
 wstrzymywane co chwila nieubłaganemi lin-
 jami prostemi, znudzone i zniechęcone, nie
 ma tu czego szukać, nie ma pójść po co,
 więc się zamyka i nie pragnie obrazu, bo
 go ocenić nie potrafi...

7

Rozum nie umie i nie może zaprotestować przeciwko tak oczewistemu postępowi — ale serce i uczucie go nie przyjmują, ciężko im rozstać się ze znanym światem swoim, pod którego pierwotną powłoką, droga jakaś prastara myśl, dziś niełitościwie wygnana mieszkąć musiała.

Przyznaję się chętnie do téj wady, do przesądu, do grzechu jeżeli chcecie, że mi ten tak na nowo poprzerabiany kraj mój wcale się nie podoba, nie poznaję go, czuję się w nim obcy, tęskno mi, cudzo w nim, smutno. Zawsze mi się zdaje że człowiek obłąkał się szukając przedewszystkiem materialnych tylko korzyści i poświęcając im najdroższe cele żywota. Bo nie pojmuję by ludzie tak zacięcie gospodarzący, mogli zarazem służyć sprawie duszy, jak służą interesowi kieszeni. Ten świat tak porządnym, dziwnie suchym, zimnym, strasznym mi się nawet wydaje. Juscież, to przesąd zapewne,

starość i niedołęztwo. biję się w piersi, przyznaję do winy, a przestać grzeszyć jednakże nie mogę.

Chciałbym uwierzyć w to, że wszystko co się robi, robi bardzo dobrze i ku lepszemu prowadzi, że jesteśmy istotnie na prawej drodze, na szczerym gościńcu postępu... ale taki smutno i smutno, obejrzawszy się do koła siebie.

Wszelką począ (o co może mniejsza dla wielu) wszystko w życiu niespodziane, własną swobodę odejmuje światu, taki postęp pod sznur i cyrkiel... coś tu musi być przesadzonego i fałszywego — prawdziwy postęp jakoś by powinien inaczej wyglądać.

Wolałbym z lichem dawne ubóstwo nasze, trochę nawet starego nieładu, a większe zasoby ducha, a gorętsze serca, a silniejsze uczucia. — Niech mi nikt nie dowodzi że można być najlepszym gospodarzem, agronomem, spekulantem, przemysłowcem i naj-

czulszym a najpoetyczniejszym z ludzi. To są podobno żywioły, które z sobą nigdy w parze chodzić nie będą. Przerobi się świat na wielki kantor gospodarsko-industrialno-komersyjny, ludzie na komisantów, książki na rejestra, życie na rachubę podwójną przez *h a b e t* i *d e b e t*... i zapewne... komuś z tём będzie dobrze, ale nam starszym i leniwego umysłu ludziom, tęskno za szarackową przeszłością naszą!!

Powiadają że już tak jest wszędzie, u rozumniejszych braci na zachodzie... musimy więc naturalnie iść za przykładem cudzym i poprobować sobie także tego szczęścia... czas wreszcie i nam zostać ludźmi rozsądnymi, ziemnymi, praktycznymi—jednem słowem—ale czyż mamy przestać być sobą??

III.

Wnijdźmy więc do domu niezmiernie praktycznego człowieka, którego dwór jużśmy tam wam ukazali na pagórku, w samym środku pól ornych, otoczony wspaniałemi budowlami gospodarskiemi.

Na ten pałacyk plan musiał dawać Marconi lub Lanci, tak dobrym a nie naszym smakiem wzniesiona ta willa europejska — rzekłbyś że jesteśmy gdzieś na drugim końcu Europy, nie u siebie w domu, takie to artystycznie piękne, kosmopolityczne, postępowe... a cudze. Ani śladu wedle dworu,

tego co go u nas dawniej otaczało—ogród angielski, trawniki przepyszne, holendernie, gorzelnia po niemiecku, a co krok to furtka, to słupek, to numer, to napis, i czysto i śliczniuchno umieszczono, pogradowano, a każda rzecz na swoim miejscu, a każde miejsce ma swoje przeznaczenie, a nie nieużytecznego i zapomnianego... Ale wszedłszy tu poza okopy, płoty, zagrody, zdaje ci się żeś wpadł do więzienia, tak ci ciasno — i zachciewa się wybiedz na dalekie gdzieś, na dzikie pola, do zarosłych i poobalanych lasów, aby tam trochę zaczerpnąć swobody, powietrza i dać oku spocząć po tych nieznośnych liniach prostych, które świat czynią podobnym do kartki z geometrii Laplace'a. Tu myśl Boża, myśl wielka, i nieskończenie rozmaita, ustąpiła całkiem idei człowieka nieskończenie maluczkiej i jednostajnej.

A! przecież i fizjonomia świata ma zna-

czenie swoje, a ta symetria i regularność postępową coś mówią formą swoją, a może się znajdują ludzie, dla których one będą postępem, pięknnością, najwyższego dobra ziemskiego objemem — ale my stare niedołęgi, zatęsknim za tak niežnośnie poprzerabianym nam krajem naszym.

Nie mówcie nam, jakoby poezja godziła się z takim postępem, nie dowódźcie że i on ma poezję swoją, my nie uwierzym temu, by całe życie wpatrując się w wasze sznury, można nabyć pojęć estetycznych o pięknie w naturze, by całe życie rachując z wami i ważąc tylko, można tą czynnością podnieść się na duchu. Przyznajcie raczej że nie chcecie marzenia i poezji, żeście ukochali rzeczywistość i nie wierzycie w ducha, a więc i karmić go macie za rzecz próżną. Ale tak gawędząc nigdy podobno nie wnijdziemy do domu u którego drzwi rozprawiając stoimy, cicho więc, natrętny

gdero, i otworzymy drzwi na sprężynie... a, wchodzimy już nareszcie.

Sień, aż miło, jasna, biała, nie dla oka, ale nie bez użytku, a jak to poustawiane baczenie, jak każdy oszczędzono kątek!... Dalej, jesteśmy w salonie oklejonym obiciem nowiuteńkiem, przystrojenym w meble palisandrowe świeże, pokryte tryką ciemno-wisniową; w zwierciadła z ramami rzezbionymi, w angielskie dywany... Salon to jak najściślej zastosowany do ogólnych prawideł dzisiejszego dobrego smaku, vulgo mody, nie w nim nie zastanawia, ale nie nie razi, każda rzecz tak jak być powinna, i nadto ani główki od szpilki... trochę kwiatów u okien, ale moda ich podlewać nie każe, uczucie nie zaleca, więc smutne i powiedle stoją na straży, gdzie je ktoś z obowiązku postawił.

Pochodzący kwadrans po tym pokoju, zachciwa się wprowadzić spać lub wynieść,

ale może być inaczej gdzie życie indywidualne człowieka nie objawia się niczem, gdzie nie poczuwasz nic coby cię pociągało, zaciekawiało, rozpowiło myśl, rozbudziło uczucie? Właśnie to dobre, że możesz w takim salonie będąc całkiem panem siebie, usnąć spokojnie lub zasiąść do obrachunku, jeżeli masz jaką rachubę prawdopodobieństw w głowie.

Mamże was dalej jeszcze z tego salonu prowadzić? nie, zdaje mi się że z niego potraficie się wybornie domyslić resztę domu, w którym wszystko znaleźlibyście na swoim miejscu, wygodę, komfort, czystość, porządek, usługę nieliczną ale wyborną, sprzęt nie wystawny, ale dogodny, — nie wiele smaku, nigdzie życia, nigdzie świętej iskierki uczucia i poezji, które są w chłopskiej chacie, ale nie mają się gdzie pomieścić w takim nowiuteńkim domu ściśle obrachowywanym na potrzeby właściciela.

Przed kanapą w salonie, na okrągłym stole, są i książki okryte niedostrzeżoną warstwą pyłu dowodzącą że je tu położono dla mody i przyzwoitości, ale nikt w rękę ich nie bierze; więdną one także jak kwiatki w oknach, których nie pieści ręka niczyja. Nigdzie niczego nie dotknęła się fantazja, nie ozłocił uśmiech, nie obmyła łza,—wszystko jakby dziś ze sklepu, z fabryki, do niczego nie przylega wspomnienie, w niczem udziału nie miało serce.

Nie idźmy dalej, nie ma po co, zostańmy już w salonie, powoli doczekamy się, że się tu pościągają wszyscy domu mieszkańcy — a naprzód sam gospodarz, którego mierzone kroki już słychać.

Mam honor przedstawić go państwu, nazywa się Jam Dembor...

IV.

Bóg jeden raczy wiedzieć o pochodzeniu pana Dembora, nazwisko niby nasze, o krwi i rodzinie i przeszłości ich, różni różnie prawią. Jedni, przykładając rękę do twarzy i wskazując niby izraelską brodę, szepeczą o jerozolimskiej genealogji, drudzy głośniej i śmieliej mówią o dziaduniu kupcu w najbliższém wojewódzkim mieście, inni czarno na białém przekonywają, że go potwierdziła heroldja a nawet dała mu *armes parlantes* Demboroga. To pewna, że nikt mu nie zarzucić nie może, a wielu go

sławi jako człowieka potężnej inteligencji (wyrażenie czysto dzisiejsze i szerokie nader zastosowania) — niesłuchanie praktycznego (drugie wyrażenie charakterystyczne naszej epoki) pierwszego agronoma i technika, gospodarza nieporównanego, obywatel jakich mało i t. d. i t. d.

Spojrzawszy na twarz, przekonywasz się że w istocie niepospolitego masz przed sobą człowieka — głowa piękna, posągowa, rysy regularne choć bez żadnego wyrazu, czoło wyniosłe, oczy rozumne i jasne, nos orli, usta nieco szczupłe i zaciśnięte. Ale chłód śmierci wieje z tego oblicza zawsze zastygłego jak lód, wygolonego świeżutko, bez żadnej zmarszczki, bez żadnego żywego piętna. Strach przejmuję, gdy się rozmięrzy obojętność i sceptycyzm jakich te rysy są uosobieniem, nie pociąga cię do nich nic, chociaż nie powiesz byś chwycił choćby najmniejszą odrobinę fałszu lub poniżającą

jakićj namiętności, króluje tam i panuje zimniuteńki rozum. Jest to téż człowiek będący zawsze i wszędzie najzupełniej panem siebie. Gdyby można wcielić w krew i ciało machinę rachunkową Sterna, nie inaczejby zapewne wyglądała.

Nieczmiernie przyzwoity, poważny, umiarkowany, surowy nieco, Jan Dembor zdaje ci się wyciosany z jednej bryły, tak dalece wszystko w nim zlewa się w doskonałą całość. Żadnego tu rozdwojenia które tak często trafia się w pospolitych słabych ludziach, nawet gdy śni i marzy, marzenia jego maszą być dalszym ciągiem tylko osnutych na jawie projektów i ponętnój rachuby. Nawet gdy sam jeden spoczywa, czyni to z godnością, z powagą, nie zrzucając z siebie jarzma przyzwoitości, do którego już przyrósł na wieki, w którym mu chodzić dobrze i wygodnie. Nikt go nie widział ani rozweselonym, ani smutnym, ani uśmiechnio-

nym, ani płaczącym, ani nawet niespokojnym i ożywieńszym niż zwykle, nie go nie porusza i nie dręczy, nie bawi i nie niecierpliwi, gotów jest zawsze na wszystko co go spotkać może. Nie można powiedzieć by przynosił coś jednego nad drugie, żeby miał w czém upodobanie szczególne, trącające słabością, oprócz zamiłowania porządku, oszczędności i przyzwoitości.

Litość jego i miłość dla ludzi, obrachowana jest jak inne czynności, wymierzona, ograniczona stałym procentem od dochodu, i stale jedną — tyle a tyle ma dla biednych czasu i pieniędzy, więc nie da ani grosza ani chwili. — Rządzi się rozumem nie sercem i z tego szuka chluby, dowodząc głośno, że jedynie czyn wyrozumowany, chłodny, może mieć jakąś zasługę, a litościwy uczynek bez przyłożenia doń serca jest większą ofiarą, niż nierozważne miłosierdzie z drażliwej płynące czułości.

Sofizmat ten wcale niegorszy, rządzi całym jego życiem.

Dosyć majątny z rodziców, ale po nich wzięwszy fortunę zadłużoną, powiększył ją pracą i skąpstwem, przyrobił ożenieniem i podniósł do pary milionów, a że mu się to udało, stale trzyma się planu na który wszedł zrazu instynktowo—żyje nadzwyczaj oszczędnie i bez żadnej próżności dogadzającej wystawy, z oględnością i rachubą niemiecką nie pozwalając sobie tracić nic nad roczny procent od dochodów. Reszta natychmiast się kapitalizuje, obraca w procentujące papiery, w akcje, na kupno ziemi lub spekulacje i fabryki, powiększając co roku rosnącą w ten sposób majątność Dembora.

Najstaranniejsze odebrawszy wychowanie, Jan umiał z niego i z życia korzystać, ale zwróci się w jednym kierunku do celu jednego, i reszcie exystencji, niemal prawa

bytu zaprzeczył. Długo pędząc po Niemczech i Anglii, wpatrzywszy się w rodzaj życia tamtejszego, za wzór je sobie postawił, i dorobił do tego co było winikłością jego charakteru, stosowną a wcale niezgorzej wyglądającą teorię, uchodząc z nią za najgodniejszego obywatela, najzasłużeńszego syna kraju, którego obdarza co rok nowym produkującym kapitałem i coraz nowym rodzajem przemysłu.

Ma też tę wielką pociechę, że przykład jego do pracy, przemysłu, oszczędności i spekulacji, do ulepszeń poprowadził bardzo wielu, i nawraca codziennie obłąkanych, leniwych, zatwardziałych, przesądnych.

Jednej rzeczy tylko niedopastrył się Dembor, i nie dojrzy już nigdy, że istotne dobro jakie czyni, psuje przesadą i wyłącznem rzuceniem się w kierunku, który dalej poprowadzić może niżeli sięga rachuba materialna; nie rozumie i nie pojmuje że ubie-

ganie się wyłącznie za materialną korzyścią i postawienie jęj na pierwszym celu, wiedzie wprost do wynarodowienia i zgaszenia ducha. Nie widzi że i sam się staje, i drugich robi uczciwymi żydami, zacnymi kupcami i komisantami, niemcami, anglikami chłodnemi, kosmopolitami bez barwy, którym w trzecim pokoleniu gdy ziemi zabraknie i przyjdzie się wynosić do Ameryki, serce już nie zabije do własnej ziemi, ani do starego ojców mogilnika, bo kości jego na szuwaks ani do cukrowni się nie zdały. Gdy mu przypadkiem zagra kto z tego tonu, Dembor leciuchno i przyzwicie rusza ramionami, uśmiecha się półuśmiechem pogardliwym i szepcze pocichutku — Poezja! poezja!

Tak zupełnie to mówi jak nieboszczyk Napoleon powtarzał: — Ideologowie!

Dembor zowie mianem pogardliwym poezji, wszystko co nie produkuje, co nie pra-

ktyczne, co przeszkadza spekulacji, co zmiekcza i bałamuci, przywiązanie do własnej ziemi, miłość, wstręt, uwielbienie, łzy i radość.

Ideje jego o ludzkości i społeczeństwie wyrobiły się raczej rozumowaną drogą teorii, niż chrześcijańskimi zasadami i nauczaniem. Pragnie ulepszeń dla wszystkich, zaprowadza u siebie czynsze, woła o nie u drugich, zakłada szkółki i ochrony, pilnuje kasy oszczędności, moralizuje lud, w przekonaniu, że to się wszystko wypłaci, a ludzkość w ten sposób od burz socjalnych zasłonią zostanie. Miłosierdzie jest dla niego gradochronem. Nie o sprawiedliwość mu tu chodzi, ale o bezpieczeństwo własne i pokoleń przyszłych.

Zresztą zasady jego są jak najściślej nowoczesne, oparte na teoriach ekonomistów i obrachowane tak, by miłosierdzie, stosownym, nie dziś to jutro, wypłaciło się pro-

centem amortyzacyjnym, pewnością jutra, spokojem, bezpieczeństwem, godnością... Jałmużna prywatna, kapryśna, nie uregulowana, psuje według niego i do próżnowania wdraża, nałogi złe podsyca; więc grosza nie da ubogiemu, ale założył dom pracy i przytułku dotąd pustką stojący, bo od niego żebracy jak od powietrza uciekają.

Jest to, jednym słowem, dobroczyńca ludzkości, jest to filozof, i nieposłyszysz o nim inaczéj jeno jak o najzacniejszym człowieku. W istocie nic mu téż zarzucić nie można, prócz że został machiną rachunkową, a człowiekiem nie jest wcale.

V.

Teorja jego w zastosowaniu do kraju i społeczeństwa naszego, jest zresztą bardzo prosta. Przedewszystkiem, powiada on, wadami naszymi narodowymi były zawsze próżniactwo, brak wytrwałości, marnotrawstwo i niedbalstwo—potrzeba byśmy się nauczyli pracować, pilnować i rachować. Gdy kraj zbogaci się, gdy się w nim rozpowszechni powoli przemysł, oświata, dobry byt—będziemy silni, odrodzeni i szczęśliwi. — Zapomniał tylko pan Dembor że naówczas, będzie nam już tak dobrze, ale to tak do-

brze, że naładowawszy trzosa, napchawszy pugilaresy, gdzie się obrócim, poniesiemy wszędzie z sobą bez tęsknicy szczęście nasze; zapomniał i tego że odrodzenie wszelkie poczynąć się powinno w duchu, nie w kieszeni, że pierwój nam trzeba silnej wiary i namaszczenia chrześcijańskiego, niż przemysłu i pieniędzy, że bez tych dwojga, martwe dzieło wszelkie, a staranie o dobry byt nie odrodzi nas moralnie.

Zapomniał, że idąc w tym kierunku na pozor najrozuźniejszym, ale poniżającym człowieka, ochłodniemy do zbytku, zastygniemy śmiertelnie, i gdy przyjdzie dzień taki jaki dziś już nadszedł dla szwabów, nie mogących się pomieścić w zabranych słowianom ziemiach, i wędrujących na stepy Ameryki — będziemy mogli opuścić nasze modrzewiowe kościołki i stare świątynie bez żalu, dla bożnic Mormońskich, dla kościołów protestanckich, dla chwalenia Boga w lesie

ze skowronkami, lub nie chwaleńia go wcale, uważając modlitwę za stratę czasu, a zatem i kapitału procentującego.

Zreszła nie wina pana Dembora, że poszedł posłuszny za swoim wiekiem i za tém co mu się jasną wydało prawdą — nie wina jego że się pednieść nie umiał nad sferę tych poziomych aforyzmów, zimnych i martwych jak figury jeometryczne, przy rozkwitłych kwieciach i rozzielenionych drzewach.

Całe tedy swe życie nieubłaganie zastosował do formuły z którą je rozpoczął — ożenił się przyzwoicie, dzieci wychował starannie, a zresztą krzewi porządek, robi majątek i zasługuje codziennie bardziej na imię znakomitego, a nadewszystko praktycznego człowieka, co dziś największą pochwałą — niestety!

VI.

Jest to chwila w której Dembor oczekuje właśnie na śniadanie i po ranniej pracy, przechadzać się zwykł po salonie. Wie z pewnością o której przyniosą łacę i zadzwonią na resztę towarzystwa, wie że nikt przed porą nie przyjdzie i odpoczywa nieco zamysłony, zwolna mierząc salon krokami równemi. Twarz jego posagowej marłwości i kolorytu, nie zdradza żadnego uczucia, oczy patrzą ale nie widzą, dusza myśli o czém nawykła w danym czasie i okolicznościach. A że w tym roku nieurodzaj na buraki;—

przyszłość fabryki cukrowej, cena wełny i upadek owiec są nielada zadaniem. Nic dziwnego, zawikłane kwestje te męczą go nawet wśród spoczynku, nie dając chwili spokoju. Strata na burakach nagradza się zaraz ceną cukru, którego podrożenie spadnie na konsumentów, „*taillables et corvéables*“ po troszę znowu pokryje się ulepszeniem obiecanem w produkcji nowo wprowadzoną z Belgji machiną i świeżo nabytym sekretem mającym o pół raza podnieść procent wydatku z owcami cięższa sprawa, ale Dembor myśli zaprowadzić w kilku folwarkach wielkie gospodarstwo rybne, sztuczne zapłodniane i wie że to nowe źródło dochodów, wypełni próżnię jaką zrobił upadek owiec. Wchodzi tu w rachubę i post katolicki dziś znowu ściślej zachowywany, który zapewnia odbył szczupaków i karpiów, i gastronomiczne postępy jakieśmy w ostatnich lat dziesiątkach zrobili.

Z tych przedmiotów pan Jan wpadł na nierównie smutniejsze i byłby się może nawet jeśli nie zasepił to zamyslił surowej, gdyby panowanie nad sobą ciągle, dozwoliło objawu na zewnątrz jakiegokolwiek stanu duszy.

Zgadnuiecie państwo lub nie domyslicie się może, że pomyślał o rodzinie, o żonie, córce i synu, którzy niestety wcale mu się nie dali tak jakby był chciał, wykształcić na ludzi praktycznych, i nie poszli tą drogą jaką ich chciał poprowadzić. Poznajmy i ich nieco bliżej.

VII.

Rzadko się kiedy zdarza, by najsilniej nawet uorganizowany człowiek, z wolą wyrobioną i energiczną, świat swój na obraz i podobieństwo własne mógł i umiał prze-
robić. Wpływ jego większy lub mniejszy, najczęściej rezbija się o właściwe wszystkim, nawet najślabszym istotom jasnowidzenie wad i przesady tych z którymi żyją. Wprędce bardzo poczuwa się słabą stronę towarzys-
szów wędrówki, i codzień się ona potem widoczniejszą staje. Najpotężniejszy umysł w ciągłym zetknięciu się z najpospolitszym,

zapoznany przezeń w swęj warłości, oceniony zawsze jest trafnie ze strony wad, braków i niedostateczności. Każdy z nas łatwiej pozna słabiznę bliźniego, niż oszacuje cnoty. Jest to cechą ułomności ludzkiej, że nie ma człowieka, któryby doskonałym i niemylnym był dla wszystkich. Najlepiej nawet odegrywający rolę swoją, prędzej czy później odkryje się z jakąś słabością i przez nią wypowiada że jest ułomną istotą.

Jan Dembor człowiek silnego wpływu i powagi wielkiej dla obcych i dalszych, temu zapewnie duchowi sprzeciwieństwa który jest w nas wszystkich po troszę, a rodzącemu się najczęściej z poznania lub przeczucia jakiejś ułomności w bliźnim—winien był że rodzina jego najmniej mu się dała pokierować, rezechodząc się w takim kierunku w jakim najmniej może widzieć się ją spodziewał, despotyczny naczelnik, głowa domu i redu.

Chciaż bardzo młodą poślubił żonę swoją i naprzód od niej rozpoczął nowe, drugie wychowanie, obmyślane systematycznie aby ją uczynić akcjonariuszem i komisantem spółki pod firmą Jana Dembor i komp.; choć miał zrazu wszelką nadzieję że ją przekształcić potrafi na stosowną dla siebie towarzyszkę żywota — z nią mu się najgorzej powiodło, choć najwięcej do działania miał czasu i pomocniczych okoliczności. Było to dziewczę naówczas rozpieszczone przez matkę jako jedynaczka, panna mająca kilkakroć posagu, piękna jak anioł, swawelna, a nade wszystko lubiąca świat, zabawy, tryumfy salonowe. Kazać jój życie pojąć na serjo, księgą obowiązków i praw, było niemal niepodobna.

Dembor w początku ożeniwszy się, chcąc nią zawładnąć poweli i wpływ swój wzmoć, dogadzał jój dzieciennym upodobaniem, starając się pomalutku przywieść do tego

co nazywał usłatkowaniem, do wyrzeczenia się próżności światowych, i spełnienia ściśłego obowiązków komisarza swego, spółnika i rachmistrza. Nie poszło mu to łącno i żadnego zwycięstwa nie odniósł bez użycia siły prawie i przemocy, co naturalnie, zerwało jeśli był kiedy jaki, związek serdeczny między nimi.

Mądre naestatek użycie gwałtowniejszych już środków, usunięcie się od stolicy, zamknięcie na wsi, odesobnienie, nudy, przywiodły biedną piękność do szukania innego dla życia pokarmu. Ale nie przewidział Dember, że żona jego rzucając bale i stroje, ciągle zachcenia podróży kosztownych i chętkę świecenia w salonach, zwróci się nie na tę drogę którą on jćj wskazywał, ale na cale inną. Znudzona śmiertelnie, wypłakawszy się na próżno, bo łązy za dzieciństwo uważał poważny mąż, poczęła młoda pani w lekkich naprzód książkach szukać pokarmu i

zabicia czasu, potem stała się nieznacznie, całkowitą blue stocking, niebieską pończochą. Zrazu uważając to tylko za przejście i kaprys, mąż nie sprzeciwiał się jej wcale, obrachowawszy że książki zawsze mniej niż fatalaszki kosztują i mają jakąś cenę: później gdy się ta gorączka literacka wzmogła, począł ją lekko prześmiewać — ale raz zasmakowawszy w tém zatrudnieniu i zapragnąwszy sławy, pani Demberowa znalazła się na właściwem sobie stanowisku i zejść z niego nie chciała. Zestawszy zapożyczanym gienjuszem, muzą domorosłą, zapragnąwszy wieńców, myślała tylko o coraz nowych wawrzynach i dalszym pochodzie zwyciężkim.

Utrzymanie piękności, którą pielęgnowała starannie będąc pewna że takie jak ona wyjątkowe istoty nigdy zestarzeć nie mogą — potem nauka, a raczej zabawka literaturą — stały się celem jej życia.

Bóg ją nie obdarzył ani szczególnym talentem, ani umysłem wyższym, ani uczuciem któreby powieść mogło na nowe drogi i jasne przed nią horyzonty rozłoczyć—mierna choć żywego pojęcia, zręczna tylko i doskonała aktorka, pani Demborowa chciała raczej grać rolę uczonój, niżeli nią zostać w istocie. Miała cokolwiek łatwości w pisaniu czczych rzeczy, wiele przesady i patosu mogącego uchodzić za poezją, dosyć nieporządnego odczytania, pamięć szczęśliwą, umiejętność wreszeie pochwytania wiadomości i myśli cudzych i układania ich w jakąś niby własną całość—a tém wszystkiém mogła pospolitych ludzi ułudzić łatwo i uchodzić za wyższą, połącznie obdarzoną istotę wyjątkową.

Kosztowała ją zapewne ta pracowicie odgrywana komedja życia, to zręczne przedstawianie się w pożyczanem blasku, ale czegoż człowiek nie uczyni dla dogodzenia mi-

łości własnej? Nie żałowała ani czasu ani pieniędzy, na prenumerały, wspieranie uczonych przedsięwzięć, korespondencje, sztukowanie artykułów i podtrzymywanie pism periodycznych, a choć mąż nieobyczajnie się czasem z nią naśmiewał (szczególniej gdy byli sam na sam, nie oszczędzając jej wcale), ona pewna że dla decorum i sławy domu przed obcemi fantazje jej szanować musi i pokrywać je o ile możliwości—śmiało brnęła dalej, nie dając się pohamować.

Z nadzwyczajną zręcznością, umiała szczególnie przed każdym nowo przybyłym, niby niechęć i półsłówkami, pochwalać się z tém co czyniła, do czego wpływała i należała, co pisała, kto z nią korespondował, jak ważną grała rolę, jak dobrze byłaawiadomioną o wszystkim co się gdzie działo w literaturze, na polu sztuk i umiejętności i t. p.

Prawdę powiedziawszy wszystko co robiła, służyło jej tylko na to, by się miała czém

pochwalić, i tego nic nie zaniedbywała, a że nie zbywało jój na przebiegłości niewieściej, dla nieznanomych mogła nawet uchodzić za skromną, tak się ta komedyjka odegrywała zręcznie, pół słówkami, tak się wszystko mówiło przypadkowo, niechcący, mimowoli, dając do zrozumienia i domysłania więcej może niż w istocie było. — Często nawet na przekorę, dla przyzwoitości, mąż nieszczęśliwy musiał odgrywać rolę pomocnika, choć w duszy się zżymał!

Piękność pani Demborowój, wybornie zachowana i utrzymywana starannie, bo o nią równie stała jak o swą sławę literacką, dopomagała jój jeszcze do świetnego grania tego dramatu Korynny wiejskiej, a raczej szlacheckiej Vittorji Acorombeny.

Rzadko która blondynka tak długo i szczęśliwie potrafiła się zachować jak nasza pani, młodość jój istotnie cudownie się zdawała przedłużoną, dzięki eterycznym sferom, w kłó-

rych ciągle była wzniesioną. Biała, rumiana, świeża, pełnych ale niezbytłych form, przepysznej kibici, modrych łzawych oczów, przymrużonych uczuciowie, koralowych ust, dziwnie piękną obdarzona ręką, nóżką małątką i olbrzymim warkoczem włosów popielatowych — Demberowa istotnie była zachwycającą i lubiła téż zachwycać. Ale w jej piersi nie zabiło nigdy serce, próżność tylko kolatała nienstannie... drażliwa, niespokojna, chorobliwa, nienasycona.

Nie gniewała się gdy ją wielbiono, na westchnienia adoratorów odpowiadała nawet wzrokiem, który mógł mówić bardzo wiele wcale nie kompromitując—ale dalej ani słowem, ani ruchem, ani sercem, nie posuwała się nigdy. To wejrzenie wyuczone, głębokie, obietnic pełne, zwracała zarówno ku starym i młodym, obdziało ono promieniami swemi wszystkich wielbicieli, a im koło było większe, tém bóstwo szczęśliwsze.

Dembor doskonale znając żonę, zupełnie o sobie był spokojny, nie kochała go wprawdzie, ale téż wiedział że nikogo innego kochać nie może, i dosyć jój będzie zawsze trochy kadzidła, trochy komedji, trochy fraszek mających pozór czegoś ważnego.

Tłum wielbicieli otaczających panią Demborowę nie frasował go wcale, śmieszył raczej, a entuzjazmy młodzieży byłyby go oziębiły może, gdyby ten marmur ostudzo-
nym mógł być jeszcze.

Nie zważając na nieme szyderstwo i obojętność męża, pani śmiało grała rolę swoją, czując to, że Dembor jeśli ją nawrócić nie potrafi, podtrzymywać będzie musiał dla uniknienia śmieszności i brać jój stronę, gdyby tego była potrzeba. Tak się téż stało, człowiek praktyczny spuścił głowę zwyciężony wytrwałością muzy, zrezygnował się na owe „*malum necessarium*“ i udawał przed wszystkiemi że panią uważa za pra-

wdziwie wyższą istotę, choć się z niej w duchu wyśmiewał, i na cztery oczy podżartowywał niemiłosiernie.

Urodzenie syna i córki, bynajmniej nie przeszkodziły pani Leoncji, do dalszych studiów nad astronomją, filozofją Hegla, kierunkiem ducha publicznego w Meksyku, przyszłością Texas, znaczeniem dróg żelaznych humanitarnem, reformami religijnemi z XIX wieku, neokatolicyzmem, mormonizmem i pusejzmem... Nie było bowiem przedmiotu któregooby nie zgłębiała (powierzchni), to jest któregooby nie zapragnęła wyczerzyć się terminologii, języka i kilku głównych formułek. Z tym małym zapasikiem, odważna niewiasta puszczała się w drogi najniebezpieczniejsze, i wychodziła zawsze, jeśli nie zwyciężko, to z honorami wojny, kapitulując.

Niezumieennie czynna w drobnostkach, wychowanie dzieci zdawszy na ludzi, by na nie drogiego nie tracić czasu, sama nienastannie

się własnem zajmowała wykształceniem. Naprzód parę razy na tydzień w dnie pocztowe ogromną miała korespondencję z wszystkimi czterema częściami świata, dbając, bardzo by do niej i od niej listy szły jak najdalej i w jak najdziwniejsze miejscowości, do Pekinu i Kalkuty, do Teheranu i Algieru: czytała potem pięć różnych *Revue*, jakby stworzonych dla niej, bo wszystkiego mających po troszę, przewracała nowo wychodzące dzieła, szczególniejszą dając bacność na przemowy, rejestra i główne ich działy. z których umiała całość odgadnąć — wreszcie tłumaczyła, studjowała, tworzyła! Prace jej uczone, anonimowe lub pod imieniem *Beaty z Debrowa*, ukazywały się w pismach periodycznych i zbiorowych, zwracając wielostronnym kierunkiem zwłaszcza uwagę krytyki i czytelników. Niektórzy przez tydzień, inni prawie przez rok cały, mieli ją za fenomenalną istotę, najupartsi trwali w prze-

konaniu o talencie nie zrażeni dzinrami i łafami jakie w nim odkrywali... Bo téż jeśli nie jako pisarz, to jako komedjantka literacka, pani Demborowa nie mogła ujść baczności nieczyjéj, występowała zawsze niezmiernie trafnie, wybierała przedmiot zręczniutko jak wiewiórka orzeszek, rebić umiała około siebie tyle wrzawy ile było potrzeba by oczy ściągnąć, a nie wywołać opozycji, w stóln zaś. obrobieniu, poczęciu, zakończeniu każdego jéj artykułu, tyle było umiejętności, sztuczek i figlów! Wprawdzie ścisnąwszy to wszystko mocno, szum tylko i pianę mydlaną otrzymywałeś w rezultacie, ale na oko! na oko! co to były za wspaniałe rzeczy! A tylu ludzi sądząc okiem, nie duszą i sercem, dają się zabalamucić lada słowem—ba! nawet umiejętnie umieszczonym wykrzyknikiem i punktem! To téż sława pani Demborowéj była ustaloną, i nazywano ją powszechnie. kobietą gienjalną. filozofem-

aniołem, wielką nieznajomą... i Bóg wie jak jeszcze, bo tłum wielbicieli nie szczędził jój imion brzmiących, a w admiracjach swych dochodził do absurdów!

Męza to niepokoiło chwilę, bał się żeby Indzie się nie poznali na bałamuctwie, i nie zaczęli wyśmiewać, ale postrzegłszy że u nas choćby nawet było poznanie śmieszności, zabraknie odwagi na wypowiedzenie go w brew wszystkiemu — uspakajał się i milczał.

Dodajmy jeszcze do charakterystyki wielkiej nieznajomej, że miała już lat czterdzieści, ale wyglądała na dwadzieścia kilka w dniu w wielkim stroju, na trzydzieści najdalej w rannym neglizn, czasem wieczorem przy świecach na osiemnaście. Udawanie młodości obchodziło ją przynajmniej tyle co komedja sławy i talentu, jedno bowiem pomagało drugiemu i podpierały się wzajemnie.

VIII.

Dzieci państwa Demborów, zostały wychowane jak najstaranniej, a że środki materialne były po temu, i nieszczędzono na to niczego co tylko do wykształcenia ich fizycznego i umysłowego służyć mogło, rzeczywiście zrobiono tyle, ile za pieniądze uczynić się może. Ale tu, jak niejednokrotnie w razach podobnych, skutek nieodpowiedzial wcale usiłowaniom, dla tego że w nich zimna wola i rozsądek tylko, bez udziału serca, przewodziły wyłącznie; nie powiem żeby oboje państwo nie kochali dzieci, ale większa

częstka serca, nie była przy ich kolebce. Dembor był najmocniej przekonany, że wszystko kupić można i wszystko pieniędzmi zastąpić — dbał żeby im na niczem nie zbywało, ale spełniał swój obowiązek chłodno jak zadanie, bez niepokoju, bez trwogi serdecznój, bez przejęcia i modlitwy. Obrachował przyczyny i skutki, kupował przyczynę, i skutku był tak pewny jak mączki cukrowej z buraka. Matka edegrywała czasem w chwilach wolniejszych rolę macierzyńską i ładne swe dzieciaki przy gościach, w malowniczą z sobą układała grupę, bawiąc się kędziorkami ich włosów, całując białe twarzyczki, oplatając ramieniem słoniowem różowe ich ciała wybornie odbijające przy kolorycie jej ręki... ale... ale — wychowanie tych aniołków zdane było na najemników, bo czas pani Leoncji należał do ogóln: bo pióra z ręki wypuścić nie mogła, ani się wyrzec swych ważnych zajęć literackich, a mianowicie

wielkiego dzieła pod tytułem: „O stanowisku kobiety w nowej społeczności i wpływie jej na ukształcenie przyszłych pokoleń.“ Dzieło te z którego mnóstwo krążyło wyjątków, studjowała, przerabiała, doskonaliła wedle coraz nowego planu, ale od roku do roku odkładała jego wydanie.

Tym czasem do kochanych dziełek, bony sprowadzano ze Szwajcarji, guwernantki z Londynu i Paryża, professorów z Berlina, gymnastyków ze Szwecji — do każdego dla nich przedmiotu był nauczyciel specjalny, do każdego talentu artysta znakomity. — Dembor sypał pieniędzmi skreśliwszy sobie plan edukacji rozumowany na wielką stopę, obrachowawszy lata, obliczywszy godziny, określiwszy kolej nauk jak najrozważniej, z zastosowaniem jak najświeższych i najpewniejszych metod nauczania.... Z tego wszystkiego na końcu z podziwieniem ujrzało (nie chcąc się przyznać) skutek malucz-

ki, właśnie tyle ile za pieniądze kupić można, a w moralnym względzie chybiałą całkiem rachubę.

Roslinki te pielęgnowane tak starannie, powyrastały juścić bujno, ale umysł pożart w nich serce, do którego nikt nigdy nie przemówił, którego nikt ze snu nie budził i nie rozwijał. Przytem to skrępowanie ciągłe i wodzenie na paskach, poczyniło z nich istoty zubożniałe, bierne, bez woli, bez popędu, zestarzałe od razu, i na nieszczęście tak rozumne w dzieciństwie, głupiemu musiały być na starość.

Postępy ich w naukach były w początkach zdumiewające; wychowano Emilkę i Tymoleona jako młode wielkich nadziei geniusze, ale jak je zaczęto spowijać, naprostowywać, kierować, karmić, przesycać, przeczekać, uczyć, — dorastając oboje bardzo przyzwoicie, stali się istotami niezmiernie pospolitemi, — umieli wiele, nierozumieli nic.

A! bo lepiej, lepiej wychowuje jedno słowo serdeczne wieśniaka przyciskającego dziecię do piersi, i gorzkie lat młodych doświadczenie i łzy i praca i cierpienie i błędy nawet i upadek czasem, niż najrozuźniejsza teoria, nie dająca umysłowi na chwilę wytchnienia, człowiekowi należnej swobody, uczuciu i myśli pola do rozwinięcia się siłą własną. Dzieci Demborów wyrosły na pastkach i z podziwieniem oboje rodzice ujrzeli w nich całę co innego, nie to czego się po nich spodziewali, były to dwie sztucznie zbudowane lalki norymberskie.

Starszy Tymoleon, naturalnie w szkołach nigdy nie był, bo z teorią ojca nie zgodziło się oddawać go między młodzież źle wychowaną, swawolną i mogącą szkodliwie wpływać na jedynaka — chuchano nań w domu, gdzie całę zaimprovizowana szkoła z prywatnych nauczycieli, po większej części cudzoziemców złożona, zajmowała się karmie-

niem go najczystszy szpikiem i esencją mądrości ludzkiej, w jak najstaramiej przyrządzonych pigułkach i mixturach pedagogicznych. Później jeszcze z nauczycielami wyprawiono go do Berlina, potem w podróż naukową po Europie; a że sposobił go ojciec na swojego następcę, to jest wielkiego agronoma, technika, industrjalistę, spekulantą, słuchał więc po uniwersytetach śmietanki profesorów w tych przedmiotach. Wszędzie gdzie był, musiał pisać porządny dziennik swych studiów, z których ojcu co dwa miesiące posyłał w wyciągach krótsze sprawozdanie. Potem praktykował jeszcze za granicą przy najslawniejszych gospodarzach w Anglii, w Niemczech i Belgji. Odbywał téż kursa praktyczne przy wielkich zakładach fabrycznych, a w ostatku powrócił do kraju obciążony nauką, doświadczeniem i dojrzały do żywota w latach dwudziestn.

Ojciec z dumą spojrział na to dzieło swoje — oczekując po niem niesłychanych rezultatów, ale Tymlo (tak go nazywała matka w dzieciństwie) po części zawiódł silnie ugruntowane nadzieje rodzicielskie. — A! jestli co kruchszego nad ludzkie rachuby i nadzieje?! Tymlo wyrósł zmęczony młodością pracowitą, osewiały, przemądrzały, i z za granicy powrócił z najwidoczniejszą wzgardą dla kraju barbarzyńskiego, któremu był zupełnie obcym, a na dobitkę, ojciec postrzegł za późno, że zbytkiem drzewa zamiast ogień podsyć, zagasł go podobno na zawsze.

Młode chłopię miało się już za najrozumniejszą z istot pod słońcem i wierzyło w siebie niezachwianą wiarą Emmersonowską, tak że ojciec nawet wydawał mu się pygmejczykiem i zacofanym; nie ma mowy o profesorach. Poważny, milczący, mocno znudzony, wielce wzgardliwy, dla ogółu ludzi le-

dwie grzeczny, do nauk i pracy nie miał już zapалу i ochoty. Odegrywał spokojnie rolę wyższego człowieka, milczeniem, myśleniem, i zamknięciem się w sobie wielkiej i majestatycznej powagi. Ale ojciec wkrótce się przekonał, że czytać nie lubi, że ciągu w żadnem jego nie ma zajęć, że w każdej pracy jego jest jakiś robak co ją przejada, że umysł Tymła szuka w niej rozłargnienia tylko, przerzucając się z jednej w drugą, a nareszcie w nic nie wierzy i wszystko mu zarówno obojętnem; co najgorzej w ostatku nie tylko nie ma upodobania w kraju, ale za ledwie za karę w nim wyżyć potrafi. Naprózno starał się wmówić mu posłannictwo wielkiej reformy, które złożył na jego ramionach. Tymło uśmiechał się i milczał, nie biorąc tego do serca.

Wychowanie tak troskliwe, tak metodycznie obmyślane, jeden tylko zmysł rozwinęło w młodym człowieku do wysokiego sto-

pnia, jedną stronę i skłonność: Tymlo widział we wszystkim materiał do krytyki, i z prawdziwym talentem umiał wskazywać słabość każdej nauki, niedostateczność każdej czynności, śmieszność wszelkiej postaci. To chorobliwe skrzywienie inteligencji czyniło go na resztę obojętnym i ślepym, a do chwytania ułomności tylko dziwnie jasnowidzącym i potężnym.

Pierwszym zaraz rzutem oka obejmował nauki, sprawy, człowieka grzech pierworodny, zakłace, plany i ułomności, umiał je określić i oskarżać, ale bezsilnym był dla zaradzenia czemkolwiek i poznania strony jasnej i żywotnej. Jakieś dziwne nawyknienie skłaniało go zawsze w tę stronę i przywiązywało do drobnostkowego wyszukiwania przywar. Analityk, krytyk, nie już potem zbudować nie umiał na jasnym poznaniu słabości i niedostatków, bo nie było rzeczy,

i czynności w którejby się ich nie dopatrzył, wyłącznie do nich przywiązując.

W chwili rozpoczęcia powieści naszej, był to młodzieniec pięknego wzrostu, piękniejszej może jeszcze twarzy, rysów delikatnych i czystych, ale równie i słodkiej i pozbawionej wyrazu jak ojcowska, nie w nim już nie było młodzieńczego. Świat nie miał dlań tajemnic, bo mu go doskonale i jasno wytłumaczono przez $a+b$, rozebrano chemicznie, wywiedziono filozoficznie, wyjaśniono i otworzono na wszystkie boki. Nie było rzeczy którejby nie umiał i nie znał, ale nie było też którejby pragnął i którąby ukochał.

Wszystko mu było obojętném, i wszystko zarówno zdawało się możliwem, a ostatecznie każda rzecz słabą i ułomną.

Serca w nim ani iskiereki—spало czy we śnie umarło.

W czarnych jego oczach, na wysokiem

białem czole, w ustach łagodnie ale z trochę przylgłego do nich sarkazmu uśmiechniętych — posągowa tylko rozlana była martwość, zgrzybiała obojętność i z obliczem młodzieńcem, starcem był, dla którego życie nie miało powabu, ani tajemnic.

Wrażen nie szukał, znając je z teorji i nie widząc by do czego innego prócz do zamiętania błogiego spokoju prowadzić mogły. Przy tém jedno go tylko nieco obchodziło, to dobry byt, bez którego exystencji nie pojmował. Ojciec przy nim skutkiem kontrastu wydawał się jeszcze istotą gorączkową i nazbyt złudzeniami przekarmioną, — tamten miał cele, pragnienia, plany, ten ich nie wyrobił sobie i nie czuł potrzeby. Urocze słowa tyle działające na młodych, miłość, sława, wielkość, jemu się widać przedstawiały odarte z tego wdzięku jakim drugich mamia, uśmiechał się, ruszał ramionami na nie... gotów był je przyjąć, gdyby mu

je na złotój tacy ofiarowano jako hołd należny, ale nigdy o nie współubiegać by się nie ruszył, za nieskończenie niższych mając wszystkich co go otaczali.

Pycha kolosalna, tytaniczna, zimna, pewna siebie wypotęgowana do indyjskiego jakiegoś zakopania się w sobie, stanowiła tajemne tło tego dziwnego charakteru. Miał się za rodzaj bóstwa, i nie mógł zniżyć do pospolitego żywota. Jako umysł już się zabijał tem pojęciem swojej wielkości, bo nie ma postępu i rozwoju, gdzie nie ma wiernego pojęcia natury człowieka i jej ułomności; a Tymlo słabą stroną cudzą chwytając z trafnością nadzwyczajną, w sobie jej nigdy nie dostrzegł i badania krytycznego nigdy nie zwrócił na siebie. Wiele umiał istotnie, ale nachwyłana wiedza leżała w nim martwą i bezwładną, bo jej nie ogrzewało serce, brakło ruchu i życia, służyła tylko za oręż zabójczy. To co sam umiał i wie-

dział uważając za ostateczne, za najwyższy pomnik i rezultat usiłowania ludzkiego, za coś niewzruszonego, krańcowego — naturalnie nie uczuwał potrzeby iść dalej i szukać więcej..... Z zastosowaniem zaś wiadomości innem jak krytycznem, nie śpieszył się przez pogardę i lekceważenie kraju w którym żyć musiał, tęskniąc za komfortem angielskim i wszelkiego rodzaju niepoścignioną doskonałością Wielkiej Brytanji. Był to jeden świat i kraj, z którego Tymlo nie szydził otwarcie, po cichu tylko i zrzadka.

Zresztą był to człowiek grzeczny choć zabijającą dumny i chłodu, obojętny, wyrahowany i żyjący tak sobie, — że żyć musiał, a nic innego nie pozostawiało mu do życzenia, tylko powoli dobieć się do jakiegoś końca.

Wychowanie specjalne i rozumowane, uczyniło go w rzeczach ducha, serca, wiary, i najistotniejszej części życia, tak obojętnym — obojętniejszym może niż w innych.

Nie mówił o nich nigdy, nigdy podobno nie myślał, a kwestje te zwykł był nazywać „questions oisenses“ nie wiodącemi do niczego. Spełniał powierzchownie co wymagało decorum, ale katolicyzm, protestantyzm, filozofją, po swojemu nazywał zadaniami czasowemi i miejscowemi. Że zaś z majątku i położenia w społeczeństwie liczył się już do arystokracji, obowiązkiem zaś téj klasy uznać raczył protegowanie katolickiego wyznania, był więc en principe ściśle katolikiem, nawet de Maistrzyską, tak jak w Niemczech może by był został pjeťystą protestanckim, a w Ameryce mermenem. Rzeczy te dlań były obojętne, i poglądał na nie z wysokiego stanowiska nauki społecznej.

Dla niego jak dla ojca, bo w tem zgadzali się zupełnie na jedno, głównem zadaniem był dobry byt materjalny, z bogaceniem się uczciwe, prawne, a postępowanie praktyczne. Ale ojciec pracował, on zaś z wysoka pa-

trzał na pracę i tylko czasem przekąsem o kierunku jój raczył przemówić, czując się stworzonym do sterowania ludźmi, nie zaś do mieszania się między pospolitą gawieź.

Powróciwszy z zagranicy na wieś, pod okiem ojca zamieszkał z nim razem, w osobnym domku szwajcarskim za ogrodem, czas pędząc na nieczmiernie systematyczném i obrachowaném próżnowaniu. Życie jego upływało metodycznie i porządnie... po angielsku, w samotności i nudzie poważnej. Wstawał nie rano, przejeżdżał się trochę konno po polach lornetując ojcowskie gospodarstwo z pół uśmiechem często szyderskim, śniadał z Timesem lub Evening Mail w rękę, głasząc swe charty i taxy, potem szedł na chwilę do rodziców, leżał z książką, jadł obiad, powracał do swego domku, polewał, pływał, przewracał nowości naukowe i literackie które mu nadsyłano, zaczynał kilka robót do których ukończenia zawsze mu cze-

goś nie dostawało, światła, powietrza, materjałów i ochoty,—ziewał, przechadzał się, jadł i kładł się spać nareszcie, by wstać znowu do takiego samego rodzaju życia.

Ojciec napróżno starał się go obudzić z téj apatji, Tymlo uśmiechał się tylko, ruszał ramionami i odpowiadał że zajmować się czémkolwiek u nas nie było warto. Jednak przyznajmy mu to, że gdy go przemożna władza ojcowska zmusiła niejako do wzięcia udziału w czémkolwiek, czynił to zimno, niechętnie, ale z siłą wielką i nie mniejszą umiejętnością. To co umiał, umiał istotnie gruntownie, a umiał bardzo wiele i nie było dlań rzeczy obcej.

Jeździec wyborny, choć inaczej jak na folblucie i na siodle angielskiem nie mógł jeździć, bo na prestym koniu jazdy nie rozumiał, pływacz doskonały, muzyk wykształcony i teoretyk biegły, rysownik wprawny i malarz gruntownie z techniką obeznany,

śpiewał z talentem. Przy tém agronom specjalny, cukrownik, gorzelnik, technik we wszystkich gałęziach przemysłu gospodarskiego wyćwiczony, z pamięcią niezmierną, z dowcipem ostrym choć flegmatycznym, miał wszystko co mogło stanowić niepospolitego człowieka, a był w istocie zamkniętą i w tekturę angielską oprawną encyklopedją.

IX.

Panna Emilja tak piękna jak matka, równie staranne otrzymała wychowanie, ale i tu brakło tego co życie stanowi i żywość daje, co wskrzesza, uskrzydla i tchnie ducha — brakło serca... Rój guwernantek otaczał ją od kolebki, uczono ją syllabizować najnowszą metodą, rozwijano gymnastycznie, obmywano zimną wodą co rano, trzymano w pokoju w którym termometr wskazywał zawsze daną liczbę stopni ciepła, karmiono wyważoną ilością mięsa i jarzyny, historii i jeografji, nauczono czego tylko można było

nauczyć, i zrobiono z niej martwą łątkę, bez iskry ducha.

Emilja piękną była w rodzaju winiety angielskiego Keepsaku, ale z jój oka nie patrzyła młodość, ani z ust powiało uczucie. Extyrpowano starannie wszelkie ich zarody. Grała jak pani Borer, malowała jak Rose Bonheur i śpiewała jak Jenny Lind, tańcowała jak Fanny Elssler i Taglioni, mogła w potrzebie improwizować trzema językami wielkimi słowy o wielkich rzeczach, a myślą maluczką i pospolitą, a czuciem odgąnionem raczėj niż uczutem, ale nie lubiła ani muzyki, ani malarstwa, ani tańca, ani poezji. Wzbudzała podziw, nie pociągała serca, bo sama go nie miała.

W żadnej główce niewieściej może mniej się marzeń nie snuło — nie wśladywała nigdy poza granice sfery swojej, zbytku, bogactwa, salonowych tryumfów, tytułów, znaczenia w kole arystokratycznym, i successów

w swojej klasie społecznej. Nie było dla niej innego świata nad ten w którym żyła, reszta wydawała się jej podścieliskiem (substratem) tłem, narzędziem stworzonym na usługi wybranych.

Oko jej spoglądało także z wyżyn dumy i bogactwa na szeroki widnokrąg świata rozciągający się u stóp jej pokornie i posłuszenie. Ideałem jej był udzielny książę niemiecki, hrabia z nad Renu lub Paryża, lord angielski.... coś znakomitego choćby starego i niepokąznego... w ostatku domorosły jaki miljoner bodaj trochę brudny, ale bardzo bogaty... dalej śniła o podróży do Paryża, o leży w operze, jak *furore* będzie ukazaniem się swém robić za granicą, a zasypiała znudzona wsią, nie wiele wiedząc czy mogłaby zapragnąć czegoś więcej lub inaczej.

Modlitwa się na przepysznój książce minjaturowanej i oprawnój w kość słoniową, na klęczniku z palisandru i aksamitu, przed

rzeźbami i obrazkami wytwornego smaku choć wartości tuzinkowej—ale do Pana Boga w wiejskim kościółku, nie czuła żadnego nabożeństwa.—Wsi nie lubiła wcale, wieś ję się zdawała stworzoną na żywienie miasta.

Odbywała wprawdzie z obowiązku pielgrzymki po wioskach, do ochron i szkótek ojcowskich, ale nigdy nie dotykała biednych zasmolonych wieśniaków i pamiętała żeby zawsze mieć z sobą pod ręką ocet i perfumy na dwóch chustki węzełkach, a rolę opiekuńczego anioła znajdowała dosyć nudną i utrudzającą, stworzoną dla starych panien i matron podżyłych.

Syn i córka z nałogu upodobania w spokoju, szanowali rodziców i byli im posłuszni, ale serce nigdy im do nich nie zabiło, a Emilji matka ję ze swą literaturą, z począ, z komedją entuzjazmu, wydawała się w sekrecie dosyć pocieszną niewiastą, tak jak Tymłowi ojciec pospolitym, nieco upartym i prze-

sadnym człowiekiem. Niekiedy uśmiechem i spojrzeniem dyskretnem udzielali sobie swych postrzeżeń nad obojgiem.

Nie było obawy żeby kiedy o co poróżnić się mogli z sobą lub rodzicami, gdyż ani Emilja, ani Tymlo, nie pragnęli tak bardzo niczego żeby aż walkę o to staczać mieli, a postępowanie i znany sposób widzenia rodziców, zapewniał im zgodę w głównych życia zadaniach.

X.

Stan majątkowy Demborów, był jak najświetniejszy w oczach świata, majątek się powiększał i rósł co roku, głowa domu bowiem był człowiekiem w najwyższym stopniu praktycznym.... Ciężyla jednak nad tą fortuną jak miecz Damoklesa niewidoma groźba, z którą się oswojono powoli, i zapomniano o niej po troszę. Majętności Demborów przez dziada dzisiejszego dziedzica nabyte tanio, zostawały pod prastarym o posiadanie ich procesem, który przywykniono za nic nieznaczący uważać. Ten proces cią-

gnął się lat kilkadziesiąt, i nie mogąc rozwiązać włókł powoli, a Dembor, który zrazu chciał go w jakikolwiek sposób ukończyć, widząc niepodobieństwo i rozważywszy następstwa, musiał puścić go drogą zwyczajną. Przeciwna strona popierała słabo, wiodła dla formy powoli, broniono się pilnie, ale nie naciskano także, w przekonaniu, że zmęczony i wycieńczony nieprzyjaciół, w ostateku przyjdzie prosić miłosierdzia. Narady prawników uspakajały Dembora i niewahał się w majątku który za swój uważał, kosztownych robić ulepszeń, rozrządzać nim jak swoim, śmiejąc się ilekroć mowa była o procesie. Czasem jakiś go ogarniał niespokój, ale to trwało chwilę, a kilkadziesiąt lat téj walki szczęśliwój, nie dozwalały przypuścić, by się czém inném jak zwycięstwem na stronę Dembora ukończyć miała. Wszyscy byli tego zdania i spali spokojnie: nie dostrzegając że w tak ostrożnie obmyślonój

exystencji, w tak usilnie pomnażanym dostatku, tkwiła nieustanna groźba. Nie można obwiniać Dembora, by się w tém łudził jakąś nadzieją płochą, jakimś wyrachowaniem mylnem, w istocie wszystko było za nim, ostrożność największa, praca i czujność nieustanna, — ale w rzeczach ludzkich jest że co pewnego? jestli rachuba niemylna? któż ręczy że na gładkiej drodze noga się nie pośliznie?

Do tego wcale nie był przygotowanym człowiek który przywykł wszystko rozumem rozwiązywać i w niemylność jego wierzyć jak w ewangelję — którego życie spłynęło na obwarowywaniu się na stanowisku takim, na któremby nawet Opatrzność i Pan Bóg stały się niepotrzebnymi.

Nic więc mniej nieustraszało w chwili, gdy się ta powieść zaczyna, całej rodziny Demborów, nad ten spor zadawniony, który

z przeciwnéj strony mieli za proces o summy neapolitańskie.

I nie o nim też pewnie zamyślił się Jan Dembor przechadzając po salonie z rękami pod poły surduta założonemi, w oczekiwaniu na śniadanie — gdy służący wniósł na tacy listy z poczty i gazety. Gospodarz domu popatrzał na plikę, jakby przez koperty chciał zbadać co się w nich zawiera, i jak zawsze powolnie, zasiadłszy w krzesło, począł metodyczny rozbiór poczty, od listów.

Było ich kilka, od fabrykanta machin, o żniwiarce i hydraulicznój prasie zamówionych w Anglji, o jakimś pługu który się okazał niepraktycznym, od kupca o zbożu, od bankiera o wypłacie weksła, od fabrykanta umyślnie wypisanego z Belgji do sukienic, a na spodzie — coś niezwyčajnego i niespodzianego.

List ten ostatni obok porządných kopert okrytych stemplami domów i poczty, zapi-

sanych charakterem wprawnym i pewnym, wyglądał ubożuchno i jak wieśniak biedny w towarzystwie salonowych ludzi, wstydzić się zdawał swojego stroju i niezgrabnego adresu.

Koperta na nim była z papieru rejestrowego, widocznie robiona od ręki, a napis nakreślony głoskami wielkimi, trochę krzywy i ukośny. Czarna pieczętka szeroko rozlana, z jednej tylko strony przyjęła odcisk, z drugiej zastygła lśniąca niełknęta. Widocznie korespondent nie był przywykły do listów lub nie wiele się troszczył o fizjognomię tego który wysyłał, przejęty czém inném.

Dembor nie przywykły do odbierania tego rodzaju odezw coś namiętnego w samą powierzchność mających, potrzymał w ręku list z czarną pieczętka, obrócił go razy kilka i choć się nie zdradził z myślą wewnętrzną znać było że nie bardzo chętnie brał się do otwarczenia. Cwiarteczka papieru wycięta

z arkusza, zapisana na cztery strony, wysunęła się z siwój koperty... spojrzął na podpis, ale nie można było poznać po twarzy co w nim wyczytał, począł sumiennie od początku. Odezwa była następującej treści.

XI.

„Kochany wuju.... Z czarnej, żałobnej pieczętki tego listu, domyślisz się może nieszczęścia naszego... od dwóch miesięcy jesteśmy sierotami... zupełnymi sierotami. W pierwszej chwili, ani sił, ani przytomności nie mieliśmy żeby się uciec do ciebie, żeby ci donieść nawet o ciosie, który nas dotknął.

Płakaliśmy, płakali, nieprzytomni, pogrążeni w żalu, zapomniawszy, że jest jeszcze ktokolwiek na świecie, co zechce może podzielić z nami łzy nasze. Daruj nam tę

winę, do której się poczuwamy kochany wuju, wiemy żeśmy byli obowiązani uciec się do ciebie i przytulić pod opiekunicze skrzydła twoje — daruj żalowi naszemu i ogromowi straty jakąśmy ponieśli. — Ani Michaś, ani ja, nie mieliśmy siły pomyśleć nawet o ratunku w nieszczęściu naszym, płakaliśmy tylko.

Świętój matki naszej nie ma już na tej ziemi, przeszła opiekunka do niebos, modlić się za nas u tronu Bożego — pusto w koło, a nas samych na świecie, sierot dwoje... Dwa miesiące upływa już od strasznój chwili rozstania, a jeszcze obojgu nam przytomną jest, jakbyśmy dziś nią przeboleli, i oswoić się nie umiemy w strasliwym położeniu naszym. Choć łzy mi zastaniają oczy i pióro drży w ręku, winnam ci, kochany wuju, pożegnanie od zmarłej matki i opis ostatnich jēj godzin, i przekaz ostatniej jēj woli, którą opiece twojēj, nas poleciła. Przebacz jeśli

nie potrafię nawet powtórzyć ci porządnie, tych strasznych dla nas przypomnień chwili uroczystej życia, w której Bóg dotknął najpierwszą i najcięższą boleścią.

Matka nasza na parę tygodni przed zgonem, lekko na pozór zasłabła, choroba jej wcale nas nawet nie zastraszyła, bo przyszła jak zwykła dolegliwość wieku i nie miała w sobie zrazu nic groźnego. Posłaliśmy po doktora, przepisał lekarstwa chłodzące, ból z piersi ustąpił, święty nasz anioł uczuł się lepiej i uśmiechnął.

— Nie potrzebnie się tak o mnie starać troszczycie, mówiła z uśmiechem i pogodą na twarzy, nie bójcie się, nie bójcie, nie mi się nie stanie, jeszcze wam długo dokuczać i nudzić was będę...

Żartowała sobie, śmiała się i była w jak najlepszym humorze. Nazajutrz jednak po tém polepszeniu dostała pod noc lekkiej gorączki, a ja w sekrecie posłałam znowu po

doktora, poleciwszy mu tylko, aby ją nie zastraszał i powiedział, że będąc w sąsiedztwie, przez troskliwość o nią nie wzywany przyjechał. Tak się stało, i jeszcze nie się nam gorzej nie zdawało, ponowił lekarstwo, upewnił mnie że to zwykła mamy choroba, która przejdzie spoczynkiem i lekkim lekarstwem, odjechał... Ale matka znać czując się gorzej w sobie, a nie chcąc nas przestraszać tylko, w nocy jakim się później dowiedziała, korzystając z chwili gdy wyprawiona przez nią gwałtem do łóżka w sąsiednim pokoju usnęła—zawołała do siebie naszą pocziwą Klembosię, i po cichu jej różne dawała rozkazy. Nazajutrz znowu było lepiej, przynajmniej tak się nam zdawało zaślepionym—czytałam jej Naśladowania Chrystusa Pana i Świętego Franciszka Salezego, mówiliśmy z sobą wiele. Michaś był z nami dzień cały. Dopiero pod wieczór po twarzy roznognonej i krótkim odechu, poznałam choć

się mama nie przyznawała, że cierpieć musi więcej—i wyprawiłam znowu po doktora.

Choroba przybrała gwałtowny charakter, i gdy nadjechał, już prawie nie było środka na nią. Poznałam na jej twarzy, która kłamać nie umie, że Bóg zesłał na nią groźbę straszliwą... Oboje z Michasiem nie odstępowaliśmy już od jej łóżka na chwilę. Nawet w najcięższych męczarniach anioł nasz, nie zapomniał na jedną chwilę o biednych dzieciach, którym chcąc ulżyć męczarni, skrywał w sobie boleść, przestрах śmiertelny i panował nad chorobą samą. Doktor wydziwić się nie mógł mocy duszy z jaką cierpiała święta matka nasza — przytomności jej, łagodności, rezygnacji.

Nareszcie przyszedł moment, w którym wyrzekła złamanym głosem, nie mogąc dłużej wytrwać, byśmy posłali po proboszcza. Uspokojona znowu, przyjęła Sakramenta,

pobłogosławiła nas i wszystkich jak dzieci własne przywiązanych do niej ludzi co ją otaczali, rozjaśniło się jej lice uśmiechem świętości, i zasnęła pocieszając sieroty swoje.

Chwili téj w której martwe już tylko zwłoki jej ujrzeliśmy przed sobą, opisać nie potrafię—nie będę silić się na to—powtórzę ci tylko, kochany wuju, ostatnie jej wyrazy wyrzeczone do ciebie.

— Powiedzcie Janowi, rzekła — że mu was polecam, ufam jego rozumowi i sercu — niech wam radzi, niech was wspiera, wiem pewnie że was nie opuści, że się na nim nie zawiodę, słuchajcie go jak ojca.

Nie mogę ci pisać więcej kochany wuju, ani Michaś, ani ja, nie mamy jeszcze na to dość siły, on biedak leży nawet chory dotąd, tak go przejęła ta strata, którą ja nie mniej uczułam od niego, ale z większą przyjęłam odwagę. — Nie mogę i nie mam

prawa myśleć o sobie, bo Michaś na mojej opiece.

Czekamy rozkazów twoich, wuju kochany, przybycia lub wezwania, rady, której we wszystkim potrzebujemy biędne sieroty. Bądź nam ojcem łaskawym, bądź opiekunem... Bóg ci to odda, bo my nie potrafimy; przywiązane dzieci twoje.

ANNA I MICHAŁ SOLSCY.“

W przypisku były jeszcze słów kilka od Michała, brata Anny, który mimo choroby zdobył się na wyrazy pełne uczucia... skreślone ręką drżącą.

Dembor przeczytał list nie zmrużywszy oka, powoli, uważnie, twarz jego nie zdradziła żadnego uczucia, nie zadrżała mu ręka, nie dobyła się łza... złożył papier uważnie, zasunął go w kopertę, schował do bocznej kieszeni i trochę się tylko zamyslił.

Nie wziął już tylko do ręki gazet i tak

zadumany, pozostał w fotelu, gdy na znak dany z przedpokoju, drzwi się otworzyły z sali jadalnej i służący wezwał do śniadania.

XII.

Prawie w chwili gdy się to działo, weszła drugimi drzwiami od swoich pokoiów pani Demborowa, wedle zwyczaju niosąc z sobą mnóstwo książek, papierów, gazet, rękopisów, listów, które rozpatrywała w czasie śniadania, czasem udzielając treści ich przytomnym, zawsze skarżąc się na ciężar zajęć i brak godzin nie mogących jéj na wszystko wystarczyć.

Jużeśmy odmalowali ją kilku rysami, tu dodam tylko, że strój czynił ją młodą i świeżą do zadziwienia, a ogólny wyraz twa-

rzy oznaczał zamyślenie się poważne i oderwanie się od życia powszedniego. Czasem tylko ukradkowym wzrokiem, którego się wstydzić zdawała, schodziła chwilowo na ziemię.

Wszedłszy spojrzała na męża, który jęj chłodnem skinieniem przesłał urzędowe dzień dobry i zasiadła nie bez myśli jaką ma przybrać postawę, zanurzając się w swoich papierach.

Śniadanie stało przygotowane, ale nikt nie brał się do rozdawania go. Dembor przechadzał się zamyślony, pani czytała zmarszczywszy białe czoło, minęła chwila, nikt nie przychodził więcćj, gospodyni domu zadzwoniła niecierpliwie.

— Proścież panny Emilji, i pani Lully, zawołała do wchodzącego służącego.

— Proszono, zaraz idą...

W ślad téż prawie za służącym, wsunęła się panna Emilja, którą nie za córkę ale

za młodszą siostrę pani Demborowej wziąć było można, tak do siebie były podobne, i tak jednak piękne obie. Ale na licu matki było trochę choć sztucznego życia, na twarzy córki duma i znużenie panowały tylko. Wszedłszy do pokoju przywitała matkę, która jej roztargniona pocałunek oddała, i ojca, który się niby uśmiechnął do niej, obejrzała się i usiadła na swoim miejscu, wygodnie rozpierając w krześle na dumanie.

Pani Lully nieodstępna towarzyszka Emilji, dosyć nie ładna, ale mocno wystrojona i zaparfumowana francuzka, której się zdawało że ma uroczą kibić i przynęcające kształty, w krygach i ruchach pełnych przesady, wzięła się do robienia herbaty — wszyscy zresztą milczeli. Brakło jeszcze Tymoleona, który zazwyczaj się spóźniał.

Porozstawiano herbatę, każdy ją pić zaczął powoli, i przysunął sobie co mu do niej było potrzeba, gdy nareszcie Tymlo ukazał

się we drzwiach szklanych od ogrodu, z charakterem, wyżejkiem i łaxem towarzyszącemi mu, w rannym stroju a l'anglaise, dzikijskiej czapeczce, ze szpicrutem w rękę.

Był to ładny mężczyzna, gdyby nie panna na twarzy jego martwość, właściwa ojcu i córce, u matki wyrobioném zastąpioną ożywieniem. Wąsik mu wysypywał się na wardze górnej i mszysta młodzieńcza bródka okrywała policzki, ale w oku nie było ognia młodości, zamyslenie tylko jakieś i chłodne szyderstwo patrzyły z niego.

Ledwie przywitawszy rodziców, padł na krzesło swoje podając rękę siostrze uśmiechającej się doń melancholicznie, i zajął zaraz psami które na widok jadła z właściwą niecywilizowanym istotom zazdrością, warciem i swarem, jak najbliżej stołu poczęły się umieszczać, grożąc sobie i prześcigając wzajemnie.

Pani Demborowa załopiona w jakiśś książ-

ce, nie podnosiła z niej oczów, małym ołówkiem w bronz oprawnym znacząc niekiedy niecierpliwie na marginesach, miejsca które chciała zapamiętać — gospodarz przewracał także swoje gazety, Tymlo psy swoje uczył obyczajności, panna Emilja ziewała skrycie, a pani Lully prostowała się w oczekiwania spójrzenia młodego dziedzica, którego chęć niecierpliwiła ją po troszę. Martwe milczenie przerywane tylko brzękiem łyżeczki, rozpostarło się na dość długą chwilę.

XIII.

Machinalnie rozpatrując gazetę rolniczą, Dembor myślał o czém inném, choć zaprzętnienie jego nie zdradzało się żadną marszczką, żadném twarzy. poruszeniem... Wiadomość o śmierci jedynéj siostry nie dotknęła go zbyt głęboko, jednakże nie zewszystkiém zdrętwiałe jeszcze fibry serca doznały jakiegoś starannie utajonego wstrząśnienia. Człowiek nadewszystko praktyczny, obrócił zaraz wynikłe z téj wiadomości zadanie w taki sposób, by dojść do rozwiązania jego jak najkrótszą i najkorzystniejszą dla siebie drogą.

Nigdy może więcej sprzeczności nie było w charakterach i usposobieniach dwojga rodzeństwa, jak między nim a zmarłą siostrą panią Solską. Starsza od niego o lat kilka, matka Anny w istocie, wedle słów dziecięcia, mogła się nazwać aniołem dobroci i świętości... Może dla tego, brat i ona, choć w najlepszych stosunkach, nie zbliżyli się do siebie nigdy ściślej i pokochać nie mogli. Ona wierzyła tylko w rozum Dembora, w jego umiejętność prowadzenia interesów i nieposzlakowaną poczciwość, chłód serca odstraszał ją od niego. Ceniąc go wysoce, wyrzucając to sobie jako występki, nie mogła przystać do brata, przywiązać się jak chciała, przybliżyć jak była powinna. On ją miał za kobietę pospolitą, nazbyt dobrą i miękkiego charakteru, a wielce niepraktyczną.

Ten wyraz był w jego usłach ostatecznym ocenieniem człowieka i nieodwołalnym wyrokiem o jego niudolności.

Widywali się rzadko, aż wreszcie prawie obcemi stali sobie — Jan Dembor rzucił się w te wielkie przedsięwzięcia gospodarsko-fabryczne, które dźwignęły go i powiększyły majątność, pani Solska owdowiała i zajęła całkiem wychowaniem dzieci, nieco zaniedbując interesów, czy nie umiejąc im podolać.

Parę razy w ciągu roku pisywali do siebie, wdowa zasięgała rady brata, ale jej nigdy prawie zużytkować nie mogła — on śmiał się po cichu z siostry, której przepowiadał ciągle grożącą ruinę. Wszystko mu się tam u niej nie podobało, sposób zarządzania majątkiem, ogólny plan interesów, gospodarstwo, wychowanie dzieci — ruszał ramionami tylko, ale widząc że nie przekonana, zdał ją na wolą Opatrzności.

W istocie, pani Solska po mężu wzięwszy dosyć znaczny majątek w ruinie, nie potrafiła go podźwignąć, ledwie zdołała utrzymać, ale wychowała dzieci (z zaparciem się siebie,

pod bokiem swoim, kosztem wielkim, o resztę się prawie nie troszcząc) na użytecznych społeczności członków, i potrafiła dla nich i dla siebie zyskać miłość tych co ich otaczali, anielską słodyczą charakteru i poświęceniem bez granic. Ani wychowanie córki i syna, ani to co czyniła w ogóle dla ludzi, nie było do zbytku obrachowaném i wyrozumowaném, nazbyt zawczasu osnutém, rządziła się więcćj ogólnemi zasadami religijnemi i sercem, niżeli jakąś teorją. Modliła się serdecznie, prosiła Boga o natchnienie, posłusznie szła za niem, wierzyła w Opatrzność, czyniła tyle dobrego ile tylko mogła; a robienie majątku i zapewnienie dzieciom chleba, nważała nie za piérwszy, ale za ostatni z celów i zadań żywota; nigdy też nie wpajając w dzieci téj myśli, by najgłówniejszym ich obowiązkiem było zbegacie się koniecznie.

— Lepiej jest, mówiła do brata, usposo-

bić ich tak, żeby ubóstwo z uśmiechem zniesli, i na wszystko byli przygotowani, niż przysposabiać im i przymnażać grosza, który zawsze stracić mogą, winą własną i zrzędzeniem losu. Przysposobiamy im tylko cierpienie, gdy majątek czynim niejako warunkiem niezbędnym do życia. Lepiej przywiknać do chłodu, na który człowiek codziennie wystawionym być może, niż siedzieć w cieple, rachując na to że się nigdy z izby nie wyjdzie.

Nie szafując i nie tracąc ani na zbytki, ani na nierozważne dary, pani Solska, żyła oszczędnie dla siebie, ale wylana dla drugich. Dzieci jej nie wychowywały się wcale po pańsku, ale też zbytek pielęgnowania i nawał nauczek nie stłumił w nich ani rozwijania się charakteru, ani wykształcenia woli, ani naturalnego rozsądku. Nie czuły się wyższe nad nikogo, a gotowe były na wszystko, ubóstwo ich nie przerażało, praca

nie straszyla, zbliżenie do ludzi budziło miłość i chęć wspomnienia. Słowem ludzi czynnych i żywych wykołysała poczciwa wdowa, swoje w nich przelewając serce i pojęcie obowiązków—a stłumić usiłując uczucie i tak z położenia naszego zwykle się do zbytku rozwijające — uczucie fałszywej wyższości, państwa,—wydzielające z ogółu i czyniące tych co niem tchną jakąś narością chorobliwą na ciele społeczném. Anna i Michał, czuli się synami swojego kraju i braćmi wszystkich poczciwych, a nie wiele, prawiać o katolicyzmie, czynem świadczyli że pojęli jakie na nich obowiązki.

Po śmierci pana Solskiego, znaczne choć bardzo zadłużone objawszy dobra, pani Sol-ska zasięgnęła rady brata, który naturalnie nic jęj innego nie mógł doradzić nad to, co sam dla siebie czynił. Chciał ażeby sprowadziła agronomów i techników z zagranicy, przedsięwzięła uregulowanie nowe mająt-

ności i dozwoliła im dźwignąć się z interesów radykalną reformą zarządu. Zrazu nie przeciwko temu nie miała pani Selska, owszem zdawało się jej to jedynym środkiem w jej położeniu, ale pojechawszy z bliska obejrzyć gospodarstwo brata, zmieniła zdania zupełnie.

Nie chciała zbyt wielką ceną okupywać trochę grosza.

Naprzód widok tych dóbr pocyrklowanych i zmienionych w ogród warzywny, uderzył ją czemś nie naszem, jakąś smutną niewolniczą regularnością, nie zdając sobie sprawy zrazu z doznanego wrażenia, nie rozumiejąc czemu, przełękła się téj zmiany fizjognomję nawet kraju przetwarzającój na nową całkiem, obcą i suchą a zimną. — Wejrzawszy później głębiej, przekonała się że wrażenie pierwsze, nie omyliło ją wcale, bo i ludziom z tém nie tak było dobrze jak się zdawało. Nagła reforma zmuszająca do zmiany życia,

dotykała ich boleśnie, nowy żywot zaspaka-
jał wprawdzie ich potrzeby cielesne, ale ich
ochładzał, uczył egoizmu, materjalizował,
wystudzał i ogałacał z uczucia, odzierał
z poezji.

Poznać nie było można w tych zniemcza-
łych i sprotestanciałych chłopkach i szlach-
cie, wesółych kmieci i zamaszystych czyn-
szowników naszych, a panów braci... wszy-
stko to po żydowsku mówiło tylko o groszu,
pędziło za ziskiem, śniło o zarobku, oba-
wiała się straty więcej niż grzechu, oszczę-
dzało, chłodziło, a poprawa moralna niby re-
gularniéjszém dowodząca się życiem, nie
oparta na żadnej postawie silniejszej, na naj-
lichszej spoczywająca rachubie, wytrzebiam-
ca uczucie, jedyny bodziec którym do czegoś
dobrego poprowadzić było można—była tyl-
ko pozorną i fałszywą.

Znać było, że w reformie najmniejszego
udziału nie miało serce, motywem do niej

rachuba i chleb powszedni. — I choć w dostatkach i wygodzie, nie było im dobrze; matki wykradały swe dzieci ze szkółek i ochrony, chory choć mu tam było lepiej, cieplej i ciszej, nie pragnął do szpitala, wyrwał się z niego. Wołano przeciw przesądom i ciemnocie ludu, ale zimna, najęta niewiasta, siedząca nad dziećmiakami za pańszczyznę, znudzona, nie mogła zastąpić matki chłopiętom do swobody przywykłym, do słoneczka Bożego, do powietrza i skoków, ani ochrona najwykwintniej zbudowana, upadającą chatki własnej. Dla nich ochroną powinien był chyba być zielony jaki ogródek, a mistrzynią i matką pocziwa jaka siostra miłosierdzia, któraby dla miłości Bożej, nie dla pensji pilnowała, nie cudzych dzieci, ale tych maluczkich, których Chrystus powoływał pozwalając im przystępować do siebie.

A w szpitalu — mogło białe łóżko i czysta posilna strawa zastąpić kątek do którego

człowiek przyrósł, swoich krewnych, słowo pociechy i litości, tysiące drobnostek bez których tęskno w zdrowiu, cóż w chorobie? Dziwnaź że ludzie wolą umierać w chacie, niż szukać w szpitalu zdrowia kosztem męczarni serdecznój?

Tak wszędzie, przekonała się pani Solska, że małpując najlepsze uczynki na zimno, w celu utylitarnym, nie miłosierdzia, nie rachowano na serce i uczucie, nigdzie nie odzywano się niemi i do nich, a to co czyniono dla ludu, działało się nie w imie wyższych pobudek braterstwa w Chrystusie, miłości chrześcijańskiej, miłosierdzia, ale w imie dobra, rozumu i rachuby materialnej. Kupowano przyszły spokój i potrzebne serca, nie skarbiąc sobie w niebiesiech Boga, ale ludzi na ziemi na wypadek!! I dzieło też oparte na takich podstawach, kruche, smutne, kalekie być musiało.

XIV.

W ten sposób, przypatrzwszy się z bliska gospodarstw i ulepszeniom brała, powróciła do domu pani Solska nie czując się na siłach, by iść za radami jego.—Została przy starym trybie, o tyle tylko wprowadzając weni ulepszeń, o ile one pogodzić się dawały z miejscowością, ze świętym niekiedy nalegiem, kryjącym w sobie poszanowanie przeszłości, i z prawami redziny a obyczajami prastaremi. Uczuła ona że lepiej mnićz dobrego bytu, a więcej ducha, przywiązania do ziemi i jej pamiątek, miłości chrześcijańskiej i sta-

rosłowiańskiej nieopatrznej czasem cnoty; powiedziała w duchu: Niech inne narody będą bogate i przemysłne, my bądźmy solie poczciwi, starajmy się być wprzód synami Bożemi niżeli dziećmi wieku.

Z wiarą bowiem czynną a żywą, nie ma nigdy ani nędzy, ani cierpienia, ani boleści niepokieszonej, gdy najrozumniejsze i najrzeglejsze starania nie zabezpieczą od zwykłych ludzkim rzeczom kolei, w razie nieszczęścia zostawując bezbronnym na łasce miłosierdzia legalnego, bez oręża i tarczy przeciw strapieniom i klęsce.

Pojęła sercem macierzyńskim, że to co czyni rozum przez wyrachowanie, teoria z formułek, nigdy nie potrafi zastąpić pracy poświęconej duchem miłosierdzia, jedynęj płodnej i wielkiej. Chłód zawiewa od tej roboty zimnej, bezdusznej a dumnej, która nie spogląda na człowieka pojedynczo, ale wszystkich ludzi jak obojętne przerzucia je

dnostki, i nie ceni ich boleści, tylko liczy głowy i waży strawę. Wzdrygnęła się na reformy, które być musiały okupione tęsknotą i łzami, i wołała mniej pieniędzy dla dzieci, a więcej w nich uczucia i serca i swobody ducha. Ani więc w uporządkowaniu majątku, ani w wychowaniu dzieci nie poszła ściśle za radą brata, i skutkiem tego było, że choć stan majątkowy Solskich się nie pogorszył, nie o wiele przecie poprawić go mogła zostawując Annie i Michałowi interesa dosyć zagmatwane, przy majątności kłopotliwej. Znał stan ten pan Dembor oddawna, jak w ogólności wiedział położenie wszystkich sąsiadów i niemal każdego czyje nazwisko doszło do jego uszów, gdyż czynny i jasnowidzący umysł ten nie potrzebował nad kilka danych, by z nich wniosek ostateczny wyczerpnąć.

Wiadomość o śmierci siostry, obudziła w nim trochę troskliwości o los tak bliskich

krewnych. Jako człowiek praktyczny we wszystkim do czego się jął tylko i to zmierkował, że usunąć się od dania wszelkiej pomocy siostrzeńcom byłoby stracić na opinji — do wielkich znowu ofiar dla nich nie czuł się powołanym. Należało, ściśle biorąc, dobra zająć w administrację, polepszyć ich stan, i dźwignąć interesa. Z drugiej strony zdawna życzył sobie dać jakieś zajęcie synowi, który nie godził się na podrzędną przy ojcu rolę, a za warunek przykładał zupełną niezależność... przyszedł więc do wniosku, że nieby nie było lepszego nad powierzenie całej majątności i zarządu Tymoleonowi. Ta myśl zabłysła mu przy śniadaniu, przeszła w jednej chwili przez wszystkie możliwe stanowiska rozwiązania, wzmocniła się, nabrała barwy, i urosła na mocne przekonanie... Chodziło tylko o to, by ją głośno objawić i przyprowadzić do skutku.

XV.

Milczenie trwało jeszcze czas jakiś, gdy nareszcie pani sama złożyła książkę i z melancholicznym twarzy wyrazem, zaczęła przypatrywać się dzieciom swoim. Trudno było odgadnąć jakie uczucie towarzyszyło w sercu temu macierzyńskiemu wejrzeniu, czy tworzyła obraz rodziny do poetycznej powieści, czy troskała się o przyszłość tych dwóch tak pięknych, a tak zastygłych istot.

Dembor porzucił też gazety i zwolna przysunął się nieco do żony.

— Wiesz, rzekł słodko i powoli — biedna siostra nasza... nie żyje.

Pani Demborowa zawsze niezmiennie przesadzała w okazywaniu uczucia, którego nie doznawała chociaż wcale nie sympatyzowała ze zmarłą, i na prostocie jój i dobroci poznać się nie umiała, zakrzyknęła ręce łamiąc.

— Solska! biedna Solska! a! nieszczęśliwe sieroty!

Tymoleon i Emilja spojrzeli z zadziwieniem nie dosłyszawszy wiadomości o śmierci ciotki.

— Kto umarł? spytała Emilja.

— Ciotka wasza, Solska, odpowiedział ojciec.

— Biedny Michaś, biedna Anna! rozczulając się coraz bardziej, zawołała pani Demborowa, nieszczęśliwe sieroty, nieprawdaż że powinniśmy je przytulić...

— Powinniśmy im pomóc skutecznie i radykalnie, rzekł gospodarz domu z wielką flegmą — nieboszczka przy największych cnotach była nadzwyczaj niepraktyczną,

interesa musiała porzucić w bardzo złym stanie, wszystko to spada na mnie.

— Ale należałoby, albo nam pojechać, albo ich tu wezwać .. wszak nikogo na świecie nie mają.

— Tak jest, coś się zrobi dla nich, obmyślimy — odparł gospodarz — opuścić ich tak niepodobna... Majątek znaczny, położenie piękne, wszystkie warunki ulepszenia go prócz kapitału, który zresztą zaciągnąć można... ale to wszystko potrzebuje reformy radykalnej. Mnie się tém samemu zająć trudno przy ogromie roboty własnej, której porzucić i zaniedbać nie mogę. Tymto miałyby tu pole zastosować swoją naukę i pokazać co u nas zrobić można z kapitałem i umiejętnością, zdaje mi się nawet że zyskałby na tém, gdyby wziął Porzeczański klucz w dwudziesto-czteroletnią dzierżawę... kontentując ich pensją ..

Zagadniony tak wprost argumentem ad-

hominem, Tymlo podniósł głowę, spojrział na ojca, i zatrzymał się chwilę z odpowiedzią, nie znać w nim było zbytecznego popędu do pracy.

— Ale to zadanie, rzekł, potrzebowałoby naprzód wielkiego, długiego namysłu.

— Byłbyś tam zupełnie swobodny i mógłbyś zastosować jak byś chciał wszystkie teorie twoje; przecież tak z założonemi rękami siedzieć zawsze nie możesz, a w moje gospodarstwo się mieszać nie chcesz. Porzeczże mi wszystko, czego tylko pożądać można, in crudo majątek, ale z ogromną przyszłością... ziemia dobra, lasy... w najlepszym stanie. rzeka splawna, wody, stawy, buraki by pewnie rodziły, jabym je do mojej cukrowni skontrałtował, gdybyś tam założyć nie chciał drugiej... Co się tyczy warunków dzierżawy, te wglądając w konieczność radykalnej reformy i wielkich nakładów, mogłyby być

dogodne. Ostatecznie zaś spełniłbyś dobry uczynek, wydźwigając te biedne sieroty.

Tymlo karmił angielskiego charta, i nic nie mówił, a po chwili odezwał się z flegmą angielską.

— Jest wiele, za i przeciw... Naprzód, jak mówiłem ojcu, niepodobna mi gospodarować na cudzem, choćby na dwudziestoletniej dzierżawie, potrzebuję być panem wszechwładnym i mieć całą przyszłość przed sobą... Tak straciłbym połowę lepszą korzyści z mojej pracy... powtóre majątek o ile wiem rozrzucony, warunki niedogodne... pozycja względem krewnych drażliwa i fałszywa... półśrodkami dla małego zysku gospodarować nie potrafię.

— Jak zechcesz, rzekł ojciec, namyśl się, ja nie zmuszam, ale ci coś robić trzeba.... tu niechcesz.

— Nie mam nic swojego...

— Ja ci dawałem wioskę.

— Na małym szkoda pracy.

— Jak chcesz, powtórzył Dembor, ale tym sposobem czekać będziesz musiał mojej śmierci.

— Wszak się nie wrywam do gospodarstwa! rzekł Tymlo.

— Ale wszystkiego zapomnisz?

— Niech się ojciec nie obawia o to... uśmiechnął się Tymlo, zawsze mi dosyć zostanie, na tutejsze gospodarstwo.

— Coś jednak trzebaby obmyślić dla tych dzieci, przerwała pani Demborowa niespokojnie — możemy je tu na jakiś czas sprowadzić?

— Zdaje się że będę musiał — rzekł gospodarz, nie mają się gdzie podziać. Zapewne, nie powiem żeby mi to było bardzo dogodnym, ale jakże tak zostawić panienkę dwudziestoletnią i chłopca młodszego od niej? potrzeba się zająć niemi, napiszę żeby tu przyjechali, zresztą, zobaczymy...

— Biedne sieroty! co za obraz! tych dwoje sierot! z cicha szepnęła pani Demborowa.

I na tem dnia tego skończyły się narady, bo godzina w której gospodarz zwykł był odchodzić do kancelarji ekonomicznój, wybiła. Tymlo miał się na anglika dla przejechania go, Emilja do fortepianu z panią Lully iść musiała, sama pani do nagłacój korespondencji.

Wszystkie jój listy dnia tego zaczynały się od jednostajnych prawie wyrazów.

„Darujesz mi że ciężkiem strapieniem po stracie ukochanój istoty dotknięta, mając na myśli sieroty w świętój przekazane mi puściznie, głowy nie mam i t. d. i t. d.

I w tydzień cały świat literacki był uwiadomiony, że pani Demborowa straciła siostrę mężowską.

XVI.

Tegoż dnia odjeżdżający fornal powiózł na pocztę od Dembora list do Solskich następującej treści.

„Z prawdziwą boleścią dowiedzieliśmy się o stracie nienagrodzonej jakąśmy ponieśli, a która równie nas jak was dotyka. Nie umiem i nie chcę was pocieszać, ale pragnę podzielić żalność tak sprawiedliwą i przyjść wam w pomoc o ile siły starczą. Przybądźcie jak najprędzej do nas, naradźmy się co dla was uczynić można, rachujcie na współczucie i gotowość moją na usługi wasze. Nie piszę

długo będąc niezmiernie zajęty, ale oboje zapraszamy was najmocniój ażebyście do nas przyjechali i czekać będziemy z niecierpliwością przybycia waszego.

Do tych słów kilku, pani dodała wystudjowany przypisek z wykrzyknikami i kropkami, w którym usadziła się na czułość jakby na przekór chłodnym wyrazom męża i z całą swą poetyczną wylała się duszą. List w ten sposób sklejonny, wyprawiono do Porzecza.

XVII.

W żałobą okrytym dworze Solskich, cicho było i smutno. Dom i okolica nie wyglądały wcale na majątność urządzoną, postępową, czułeś się tu u siebie w domu, na kochanem starem śmieciisku.

Stare drzewa okalały odwieczną siedzibę, a nie dzisiejsze choć porządne jeszcze budowle składały się na gospodarskie obejście. Dwór także nie był dzisiejszy... ale wiek nadając mu charakter poważny, przy skromném utrzymaniu, obdarzał nieopisanym wdziękiem, bo nic smutniejszego nad białe ściany do

których żadna nie przyłgnęła pamiątka. Gospodarstwo znać szło tu także starem trybem tradycyjnym, fabryk i machin nie widać było wcale. Ale przechodzących ludzi twarze świadczyły o dobrym bycie, i z ich wyrazu znać było, że związek żywy między ludem a dworcem nie został zmieniony na obojętny rachunkowy stosunek kapitalisty i wyrobnika. U ganku stały baby przynoszące na sprzedaż to czego do miasteczka zawieść nie pospieszyły, matki z choremi dziećmi po lekarstwo, starzy gospodarze z jakimiś potrzebami do panicza, poufali znajomi z pokłonem przychodzący dowiedzieć się o zdrowie, i wypić kieliszek gorzałczyny. Wszyscy oni byli tu u pańskiego dachu tak swobodni i weseli jak w domu własnym, rozmawiali głośno, siedzieli gdy się pomęczyli, a u przechodzących dworskich dowiadywali się o swoje sieroty z uczuciem troskliwości

i niepokoju, dowodzącem prawdziwego do nich przywiązania.

Po chwili oczekiwania, Anna pokazała się w ganku.

Mniej może ładna niż Emilja, bo téż piękność jęj mniej pielęgnowano — cale to była inna istota. Smętna jęj twarz nosiła na sobie ślady myśli, cierpienia i gorącego w życiu udziału — znać było z jęj oczów, że serce biło, że dusza nie zamarła w łonie.

Malutka, szykowna, nie zbyt biała, bo się też opalić nie strzegła, z niebieskimi oczyma, z ciemno blond włosom w ogromny warkocz zwiniętym, Anna wyglądała wśród otaczającego ją ludu, uśmiechającego się i ręce wyciągającego do swęj dobrodziejki, jakby jaka święta Elżbieta Węgierska, jak Ś. Jadwiga szląska, jak jakieś nosobienie miłosierdzia. Wszyscy powstałi zabaczywszy ją i cisnąć się do nięj zaczęli z rozrzewnieniem i zapałem — ona uśmiechnęła się do nich ze

łażą w oku, bo jęj się przypomniało nagle, że tam gdzie ich zwykle dwie bywało, dziś stała osamotniona—i za dwie miłosierną, za dwie matką być musiała.

Zbliżyła się pokrywając to uczucie jak mogła do kobiety z chorem dziecięciem i poczęła ją badać treskliwie. Reszta ludzi poglądali na nią w milczeniu spokojném, wiedząc że dla nich wszystkich czasu i serca jęj stanie.

Michaś młodszy od siostry ale słuszniejszy od nięj, ogorzały, zdrów, silny chłopak z ciemném okiem i rysami twarzy bardzo pięknego kroju i linji wyrazistych—żywy obraz zgasłej matki, wybiegł także zaraz w pomoc Annsi i zwawieję od nięj zajął się swoim wydziałem, to jest tymi którzy gospodarskie do niego mieli potrzeby.

Widać było że przystępowali doń z zaufaniem, z poczciwą wieśniaczą poufałością, bez obawy i unizoności przesadzoněj, a rozmowa ich była serdeczną i braterską.

Anna nie odprawiała nikogo do szpitala, bo w Porzeczu ani ochrony ani lazaretu nie było, ale dała lekarstwa, i lepszą od nich otuchę i myśl o Bogu, kazała wydać ze spiżarni co komu było potrzeba, odprawiając ich do domów weselszych, spokojniejszych, prawie uzdrowionych słowem. Michał też nie odwoływał się do rządcy, ani do jakichś nieprzelamanych przepisów, tylko do serca własnego.— Znał niemal wszystkich, wiedział jak komu poradzić, co dać, czego odmówić, a jeśli naukę dać przyszło, czynił to tak serdecznie, tak po chrześcijańsku, że mu jej za złe nie miał przyjmujący.

Oboje byli do tego przywykli od młodu, przykład matki wprowadził ich na tę drogę.

Już się byli powoli porozchodzili ludzie od ganku i stary tylko gospodarz, który bez żadnego interesu przywłókł się d z i e c i zobaczyć, gawędził jeszcze z Anną i Michałem,

gdy z miasteczka powracający stajenny, podał panience list wuja Dembora.

Starzec postrzegłszy papier wysunął się po cichu, a dzieci zbliżywszy się poczęły czytać wezwanie wujostwa i spojrzawszy na siebie z otwartym papierem w ręku, przeszły do pokoju.

— Ha, moja Anulku, odezwał się Michał całując ją w czoło — musimy jechać, potrzeba...

Na twarzy obojga nie wiele widać było radości.

— Tak bo to ciężko się ztąd oddalić — szepnęła Anna. Zdaje się że po drodze pogubim drogie nasze wspomnienia. Ja się tak boję ich stracić je, przykro mi pomyśleć że żal mój osłabnąć może od nowych wrażeń, że tu powrócimy chłodniejsi.

— Powrócimy prędko, rzekł Michał, i ja bym tam bawić nie chciał.

— Alboż to dokąd się wybieracie? przerwał im w téj chwili głos z kąta sali do

której weszli na radę, nie uważając że się w niej znajdował ktoś trzeci.

Na kanapie z kalendarzem w ręku siedział łysy i siwy starszek w szarłej kapocie. Twarz jego pocziwa takim tchnęła pokojem i promieniała tak gorącym uczuciem, że na nią bez wrażenia, bez poszanowania mimowolnego, nie znając nawet człowieka spojrzeć nie było można. Overbeck lub Führich mogliby ją schwycić za studjum do jednego z tych obrazów swoich w których głowy świętych starców na tle pogańskiego i bydlęcego tłumu, jak gwiazdy promienieją: wskazując żywo różnicę istot wybranych od pospolitego ślepego jeszcze i zezwierzęconego świata. Małego wzrostu, krępy, barczysty, mimo późnego dziś wieku zdrowy i silny, uśmiechał się starszek poglądając na dzieci z ojcowską czułością.

Był to pan Józef Solski, rodzony brat nieboszczyka męża zmarłej, niegdyś rotmistrz

wojsk polskich, z tym tytułem do dziś dnia chodzący po świecie wojak, który reszty żywota w domu krewnych, na łasce ich dopędzał. Majątek jaki miał z działu ojcowizny w części na służbie utracił, częścią jako nie umiejąc go utrzymać później puścił między ludzi, a że w ożenieniu nie chciał szukać chleba, przyjechał do brata i na jego łasce, potem przy wdowie żył już przeszło lat dwadzieścia. Nie liczono go do rodziny i mało kto wspominał nawet o nim, jak to pospolicie bywa, gdy majątku nie ma krewny—nie rachuje się go nawet do familji. Świat nasz tak zbudowany, że tylko ci co mają coś i dać mogą, wchodzą w jego rejestra.

XVIII.

Dziwném jest zaprawdę to poszanowanie bałwochwalskie ludzi dla grosza, dla tych co go mają, dla wszystkiego co go rodzi; — pochwaliby je można gdyby ono było uświęceniem pracy i jój owoców, ale fraszka tu jaką drogą grosz ten nabyty został, chodzi o to żeby był. Ubogi krewny nie liczy się prawie do rodziny, bo na nim żadne nie spoczywają nadzieje, bogaty stoi zawsze na pierwszym planie, choć nie wiedzieć jak do majątności przyszedł i lichy wie jak jój używał. Pan Dembor brat Solskiej zwał się

jedynym u ludzi opiekunem sierot, dla tego że rotmistrza gołego nikt za boże stworzenie nie liczył; choć rotmistrz był rodzonym bratem ojca i najpoczeźwyszym, a najochotniej poświęcającym się z ludzi. Wprawdzie i on sam trochę był winien temu lekceważeniu, skromny, cichy, potulny, raz wraz miał zwyczaj przypominać, że się nikomu na nic nie zdał, a w istocie był też najmniej praktyczniejszym z ludzi. I pemiatało nim jak chciano.

Całe życie rządził się sercem, fantazją, uczuciem, poświęcał bez granic, oddawał do koszuli, ale pogoda jego twarzy świadczyła, że mu ubóstwo ani poświęcenie nie ciążyło. I sieroty i dom ich i wszyscy co znali rotmistrza przywykli byli obchodzić się z nim jak z dzieckiem, które woli własnej nie mając, powolnie słucha co mu powiedzą, i daje kierować się cudzą.

Nie pytano nigdy rotmistrza ani o radę, ani o to nawet czego chce dla siebie, bo wiadzano z góry że odpowie jednostajnie.

— Pomódlcie się, na Pana Boga zdajcie, a jak was natchnie tak róbcie, serce was nie omyli! kto z Bogiem Bóg z nim.

A w rzeczach dotyczących się jego samego, zwykle ruszył ramionami i zakończył:

— A to mi to wszystko jedno... dajcież mi święty pokój — aby wam z tem dobrze było!

Położenie jego w domu Solskich nie było wcale upokarzające, bo miłość je osładzała, wiedział stary, że mu tam chleba kawałka nie żałowano, a tak zresztą mało dla siebie potrzebował, że bez skrupułu mógł to być wziąć od każdego nawet obcego. Do niewygód i najskromniejszego życia przywykły, obchodząc się jak najmniejszym, jadł co mu dali, w lada kątku się mieścił, a elegant nie był

też wcale, na tabakę swoją i przyodzievek zarabiając ze strzelbą na plecach.

Była to jedna z tych istot, na które ludzie praktyczni poglądając ze zdumieniem, nie umieją ich sobie wcale wytłumaczyć, mimo najcięższego wysiłku. Bo, jakto niczego nie żądać, nie prawie nie potrzebować, i lekce sobie ważyć to, co dla drugih jest najdroższém. Mało przylém pracowitszych i więcej zajętych było nad niego, nieustannie koło czegoś się krzątał, coś robił, komuś pomagał, próżnowania w sobie i u drugih nie znosił, a pracę swoją najostrożniej poświęcał dla biedniejszych, którym się przydać mogła.

Wielki miał rozsadek i rozagę w sądach o ludziach i ich sprawach, na które z właściwego sobie wznioślejszego zapał trywał się stanowiska, ale gdy własny rozum przyszło mu na osobistą korzyść zastosować i użyć, kulawo mu to szło i na nic się jego widze-

nie rzeczy nie zdało, lada kto go oszukał i wywiódł w pole, lada nadzieja złudziła, wyrozumowawszy najpiękniej, kończył po swojemu.

— Przeżegnaj się i rób, to ci Pan Bóg dopomoże, a co Bóg da to dobre będzie.

XIX.

— Alboż to wy dokąd jechać myślicie? zapytał rotmistrz posłyszawszy naradę dzieci.

— Odebraliśmy zaproszenie od wuja Dembora, zbliżając się do niego skwapliwie poczęła Anna — jak myślisz stryjasku, wszak nam wypada i trzeba pojechać?

— A! zapewne! byleby nie na długo moje dziecko, odparł staruszek, a co wy tam robić będziecie w téj fabryce?

— Może się czego nauczymy, zawołał Michaś — wszakże to wuj Dembor nadzwyczaj praktyczny człowiek, a nam takby należało pomyśleć o sobie.. poradzić coś..

— A! już i ten o praktyczności gada! żywo zakrzyknął rotmistrz,—a to skaranie Boże z tym wyrazem przeklętym, z którym się nigdzie rozminąć nie można! Nie dawno jeszcze gdzieś stąpił trzeba było na postęp nadeptać, teraz co słowo to praktyczność! Wszyscy u was praktyczni... ale do kaduka! na co ci Michasiu być praktycznym!

Michaś się zmieszał, a rotmistrz rozśmiał.

— Ot, już się napaści mojej przestraszył, rzekł chichocząc—prawda że m to nadto wziął do serca! Ale bo, do kaduka! ta wasza praktyczność kością mi w gardle siedzi, nikogo i nie już inaczej nazwać nie umiecie, to u was najświętsza pochwała. Poczciwego i łotra nazywają zarówno praktycznymi, tego że poczciwy, tamtego że swoje szelmostwa z pod różgi prawa wysunąć umie. Ale praktyczność ta wasza, to nie innego nad czyściuteńki egoizm... a że nie śmieliście jeszcze na ołtarzu postawić bałwana

egoizmu, tymczasem przewaliście bożyszcze wasze praktycznością... Otóż wiedz kochany Michasiu, że ideałem praktyczności są żydzi... zatem wiek wasz musi się ku jakiejś żydowszczyźnie skłaniać, kiedy tak praktyczność ceni.

Michał chciał coś przemówić, ale mu stary nie dał.

— Za naszych czasów, rzekł, inaczej ludzi chwalono; mówiono, to mąż duszy wielkiej, to potężne serce, to rozum przemożny — u was jedna jest tylko miara na wszystko, du-reń byle praktyczny, gałgan byle praktyczny, złodziej byle mu się udawało, filut byle okpić potrafił... jak praktyczny, wszystko dobrze, jak niepraktyczny, w kąć z nim żeby był prorok i święty, wam się na nic nie przydał!

— Ale ja bo stryjasku, nie jestem tak wcale za tą praktycznością, odezwał się Michał zawstydzony.

— Ja to wiem, moje dziecko, ale daj mi się wygadać — podchwycił rotmistrz — wiem, że ty nie zgrzeszysz egoizmem, ale się lękam, by cię nim nie zarazili ci anglicy i niemcy Demborowie. Bałamutna to rzecz, wygląda zrazu na cnotę, i można tak pomalować, że z tego djabła, białuteńki anioł się zrobi.... Im się zdaje że najwyższego szczebla doskonałości doscigli, gdy grosz robią i przy mnożą kapitału!! postrzegą się po czasie że nie na to świat Pan Bóg stworzył i dał człowiekowi duszę, żeby nią na kapitał pracował. Kocham i ja pracę, bo to rzecz święta — ale do kaduka — nie wiem żeby to obrócenie człowieka w maszynę produkującą coś tam — miało być tak wielką zasługą dla społeczności, a cała rzecz żeśmy małpy...

— Jakto żeśmy małpy? spytała Anna uśmiechając się.

— A tak moja droga! a tak! Za granicą cały postęp upatrzone w polepszeniu by-

tu, zgromadzaniu i produkowaniu bogactw, i my więc też samą musimy śpiewać piosenkę, za panią matką pacierz. Zamiast dzielić się po Chrystusowemu sercem z ludźmi i chlebem, oni chcą tyle chleba mieć, żeby nikt nie od nikogo nie potrzebował, a każdy cicho siedział, warcząc nad swoim węzelkiem. Myślą że świat przerobią, porzysadzają wszystkich po komórkach, na zagonach, każdego na swoim miejscu przy swoim kuferku, i dopieroż będzie ślicznie, szczęśliwie i spokojnie. Otoż głupcy! skończył konkludując rotmistrz.

Dzieci zaczęły się śmiać serdecznie, a starszek z niemi.

— E! e! rzekł, wy tego jeszcze nie rozumiecie czém to pachnie! Jedźcie no do Demborów, to wam nie zaszkodzi, rychlój pomoże, zobaczycie jak to miło i dobrze żyć z temi ludźmi praktycznemi. Naprzód człowiek praktyczny, kochać nie ma czasu, bo

czas to kapitał, a na to jest słowarzyszenie dobroczynne i płatny urzędnik delegowany serc i worków, który zastępuje miłosierdzie prywatne mogące się obłąkać, rejestrem i skrzyneczką. — Powtóre, człowiek praktyczny, nie ma familji, bo wszelkie związki i obowiązki są niepraktyczne...

— Ależ stryjasku! — przerwała Anna.

— A zresztą wasz Dembor bardzo poczciwy człowiek, nie przeczę, bardzo, bardzo, tylko niemiec i taki praktyczny, że gdyby mi sto tysięcy dawał za to, żebym u niego mieszkał, uciekłbym wzięwszy torbę na plecy.

— Bo stryjasek nie praktyczny! — rozśmiała się Anusia.

— O! tak kochanie moje! I chluby sobie z tego szukam, nie nniem oszczędzać na jutro, gdy dziś kto płacze przedemną, w obec łez ludzkich nie zastanawiam się nad winą i zasługą, widzę tylko cierpienie, nie wyrozmowiywam, że jałmużna rodzi próżniactwo,

i dając ją, bo tak Chrystus przykazał i zresztą majątku robić nie umiem, a i to co miałem straciłem, naostatek taki jestem głupi, że po stracie jego nie boleję. Powiadają że życie zmarnowałem, Dembor mi to raz dał delikatnie do zrozumienia—ale ba! wiem ja lepiej od niego, że mi tam nie jedna godzina życia tego policzy się gdzieś za grzechy moje, a Bóg ją przyjmie do porachunku... o ziemskich zaś rachmistrzów co na złotówki tylko liczyć umieją, dbam jak pies o piątą nogę.

Dzieci się roześmiały znowu, bo staruszek raz wsiadłszy na tego konika, puszczał się zawsze zapalczywie przeciwko nowemu światu na wyprawę, jak don Quichot na młyny, i ciężko go było powstrzymać gdy się rozłukał.

— No! więc jedziecie?—zapytał po chwili miarkując się nieco.

XX.

— Jedziemy! odezwała się Anna, wszak należy, potrzeba.. odmówić nie można.

— Byle nie na długo, rzekł stryj—mnie tu bez was tęskno będzie—o to mniejsza, na to są starzy żeby tęsknili, a młodzi żeby ich męczyli—ale co wy tam będziecie robić? Michaś nie nauczy się gospodarstwa nowomodnego, a ciebie wątpię żeby do literatury i jakiego współzawodnictwa z sobą namówiła pani Demborowa.

— Alboż to ja czytać nie lubię? trochę urażona odparła Anusia.

— Czytać to co innego, bo kłóždy tego nie lubił, rzekł stary—choć zaprawdę nadto wy już w tych książkach siedzicie—ale masz tyle rozumu, że wiesz jak pisać nie łatwo, a z pisania robić sobie zabawkę, nie godziwa i świętokradzka rzecz prawie. Dla wujenki waszój to czysto tyle co stroik i kwiatek, ubiera się w korespondencje jak w mantylki, w powieści jak druga w szale i brylanty.

— Stryjaszku! liłości!

— Wierczcież mi że to nie ze złego serca mówię—żał mi kobieciska, ale po kadukaż, dobrowolnie się śmieszoną czyni taką kome-dją? No! no! niech mi tylko Michaś się strzeże żeby nie został praktycznym człowiekiem!

— Zdaje mi się że do tego najmniej mam usposobienia!

— Ucz się sobie czego chcesz—dodał rot-mistrz rzucając kalendarz na stół—poprawny powoli gospodarstwo, pracuj, ale sercu

nie daj się przemienić w płodozinian, a głowie w księgę rachunkową... o to cię proszę! Jest coś lepszego i ważniejszego nad to wszystko— wejrzenie ku niebu i podniesienie duchem.

Dla protestanta który raz w niedzielę przeczyta sobie wymierzoną porcją biblij i westchnie do swojego nabożeństwa skleconego własnymi rękami przyzwóicie a chłodno, wszystko to w sam raz, ale dla nas, ten niemiecki rozum praktyczny licha wart, ciasna sukienka.—Nie żyje się samym chlebem, a całe życie o tém myśląc, może na tamtym świecie, gdy przyjdzie się do Ś. Piotra, a nie znajdzie tam miejsca ani na rachmistrza, ani na agronoma, bo tam ani sieją ani orzą, ani handlują —gotowi z kwitkiem za drzwi wyprowadzić... Ale ja gadam a gadam swoje, a niedaję się wam naradzić — więc taki jedziecie do Demborowa? zapytał rotmistrz.

Anna podała mu list, spojrział i pokiwał głową.

— A! jedźcie, rzekł, jedźcie! rady proście, ale nie bardzo słuchajcie jej, jakbym widział że chcą was tam przytrzymać żeby porobić z was Niemców i nauczyć gwałtem praktyczności... ja wolę moje działki widzieć niepraktycznymi, ubogimi jak dziś, a tak serdecznymi jak dziś. — Praktyczni ludzie, gdy ostatni wasz gresz oddacie złają was, żeście lada włóczędze dali na podsycenie jego próżniactwa, to co mogło być w waszych rękach nasionkiem owocującego kapitału, ja wam nigdy poświęcenia nie naganię... Więcej ma Bóg niż rozdał, a pierwsza rzecz mieć serce poczciwe.

To mówiąc, stary ruszył się z kanapy i szybko wyszedł z pokoju.

XI.

Anna z Michałem pozostali sami, uśmiechając się ze staruszką, który po setny może raz wpadłszy na ulubiony, a raczej nienawistny sobie przedmiot, taką im wyśpiewał psalmodję.

Postanowiono jechać do Demborowa, choć wspomnienie chwil w nim spędzonych dawniej, nie bardzo ku temu zachęcało.

W parę dni potem, stary powóz i cztery gniade konie Michała, które on sam do drogi przeznaczył, były już przed gankiem, a Iwaś stary, jeszcze matki woźnica, gdercząc po-

prawiał postronki, i Piotruś równie stary kamerdyner nieboszczki, dzieci jak własne kochający, wynosił powoli tłumoki z pomocą kredensowych. Po minach znać było że się wszystkim zarówno do Demborowa jechać nie chciało, bo w tym dworze tak cudzoziemskim i obcym, choć nie zbywało na niczem, taka panowała godzin i ludzi niewola, że z postrachem zbliżano się ku niemu.

Iwaś wciąż mruczał pod nosem, w pół do siebie, w pół do Piotra.

— Już to tam ani koniom ani ludziom długo nie wybyć—ja to ani wiem na którą nogę stąpić... słuchaj tylko która bije, bo jak godzinę zgubisz, żebyś konał ani ci jeść dadzą, ani nawet zagadają do ciebie. Koniom wyważono, ludziom wyrachowano... wyjść na dziedziniec wara, fajki palić ani myśleć, chyba w izbie i to nie od okna, a jakby się koń zerwał i nie na swoim miejscu wytarzał albo trawy skubnął, pewnieby o tém

po komendzie raportem podawano aż do samego pana i przysłoby sztraf płacić. Już ja wolę w domu.

— Nu! ale co to za ład! rzekł na przekorę stary Piotruś.

— A żebyś waćpan wiedział, ofuknął Iwaś, że na cmentarzu jeszcze większy ład, tam się już nikt z miejsca swojego ani ruszy.

— Ot nie plótlbyś bai, po co ci to wspominać... tfu! Ale pieniędzy u nich huk za to!

— A mnie co po ich pieniądzach! toć ich nikomu nie dadzą! ba! i sobie nie bardzo użyją!

— No! i ludziom u nich krzywdy nie ma.

— Popytaj że waść panie Pietrze... jak im tam doskonale, albo skosztuj tego przysmaku jeśli łaska? Człowiek czysto niewolnikiem, a co stąpi to sztraf... byleś się na minutę zapatrzył, he... już grzech! a o przebaczenie nie proś, bo tam tego nie ma... rychtyk kółko w młóckarni, musisz swoje od-

bywać... Godziny pilnuj, sztraf, miejsca strzeż, sztraf, chory do szpitala pod wartę! od żony, od dzieci... to zdrowia nie da choćby łóżko było najczystsze, a strawa najlepsza, kiedy cię wezmą w takie praszcęta... Rygor wojskowy, ani tchnąć... nie chcę ja tego!

— Ale bo to bięda że i u nas tego rygoru nie ma, odparł Piotruś na przekorę Iwasio-
wi— wszystko po djabie idzie.

— I, nie gderalibyście darmo... Juściż człowiek nie dyl ani palec w trybie, taki mu tchnąć i żyć dać potrzeba... Nie prze-
rebisz wszystkich na jedną formę jak cegłę... żeby nie wiem jak pracowali, taki z tego nie będzie... Jednemu zabraknie, gdzie drugiemu zbędzie; a człowiek musi mieć swoją fantazję!

— O! byś na kozioł siadł, słyszysz go z fantazją! zawołał Piotruś zżymając ramionami. — panienka wychodzi, a ty się jeszcze koło postronków gmerzesz, miałeś na to

czas w stajni, gdyby tak w Demborowie. byłby sztraf!

— A ha! ale bo to nie w Demborowie ale w Porzeczu, a tu to ja się jeszcze i z swoją panienką rozmówię, i pokłonię i siądę i na wszystko będzie czas...

To rzekłszy Iwaś, uśmiechnął się do Anny właśnie ukazującej na ganku, wydając z ust powoli fajeczkę i zgarnął lice.

— A co? pojedziemy Iwasiu? zapytała go łagodnie.

— Duchem! duchem, i tego pojedziemy! odparł stary dobierając się do kozła—siadam i gotowo... Ekonom bestyja wierzgnął i zastąpił... to się znalazło żeby go wypłatać... a łysa skorzystała i także narobiła nieporządku... ale w mig gotowo panuniu, i ot jedziemy!

W istocie Iwaś tych słów domówiwszy, już był na swoim miejscu. Piotruś już pannienkę i panicza podsadzał, rolnistrz ich

z ganku błogosławił szepecząc modlitewkę, i wkrótce ujrzeni się na szerokim gościńcu, a stary woźnica wróciwszy do fajeczki, począł podróżny rozhovor ze swemi gniadoszami, które zdawały się go rozumieć, tak każde słowo do nich powiedziane skutkowało bez użycia biczyska.

XXII.

Na widok Demborowa, którego białe budowle ukazały się trzeciego dnia podróży, Piotruś i Iwaś westchnęli ciężko, a w powozie Anna i Michał wzajem badając swych wrażeń, nie śmiało, ukradkiem spojrzeli na siebie.

— Otóż i Demborów zdaje mi się, odezwała się Anna— a jak tu wszędzie porządek — jak znać człowieka co w najmniejsze rzecz wgląda, patrz no Michale, jak to całkiem inne od kraju któryśmy przebyli, jak to zupełnie coś nowego.

— Widzę Anulku, widzę — i nie pierwszy raz mnie to uderza, odparł Michał — ale zawsze mi tu czegoś zimno, patrz co za posępne i smutne twarze wieśniaków, jak nawet strój ich się zmienił, jak coś z cudzoziemska już wyglądają. I ten świat to nie nasz świat... ja, jak kochany nasz rotmistrz nie jestem wcale człowiekiem praktycznym, zimno mi się tu robi. Patrz na tym słupie napis .. co to być może, czy przestroga? czy nauka.

— Nie, po prostu, kawałek rejestru... uśmiechnęła się Anna...

Zagajenie czwarte

oddział ósmy.

Poddział trzeci

Uroczysko samodoły.

N. 15.

— Okropna rzecz, z Bożej ziemi zrobić taką szachownicę numerowaną... jużby się choć bez tego obeszli! zawołał Michał.

— Ty bo jesteś duszą artystą, odparła siostra— a tu właśnie żywiołu twego piękna, różnaitości, swobody nie ma wcale... symetria, ład, i porządek pod linją, nie potrafią go zastąpić. Dla ciebie malowniczość jest pierwszym sympatji warunkiem, a tu jój się trudno spodziewać... nie jest to świat po staremu, ale materiał agronomiczny przemysłowy, Inna być musi fizjognomja kraju czysto tylko gospodarskiego i fabrycznego, trzeba się w nim wyrzec fantazji, poezji i pokarmu dla potrzeb dusznych.

— Sam wuj Dembor jak wiesz, dodał Michał, brzydzi się jak kwakier wszystkim lekkim i nieużytecznem, właśnie jak my tą niewolą i symetrią. Nie pojmuje całkiem by sztuka, fantazja, poezja prawnie w człowieku istniały, ma je za chorobliwe symptomata i artystów trudniami nazywa ubolewając zawsze że w kraju tak ubogim jak nasz tyle się namnożyło darmozjadów. Dla niego

najwyższa piękność wynika z linii prostych, z regularności, z ładu, z porządku... a ideałem angielska machina żelazna, połyskująca, wyostrzona, idąca jak zegarek.

Możeż tu być pięknie wedle serca potrzebującego swobody Beżej w stworzeniu, rozwoju wszystkiego, różnaitości, kontrastu?... Nie, musi być brzydko i smutno, gdzie jedynem zaprzątuieniem zarobek... zarobek i zarobek! Dziwnują się nieraz że w Ameryce nie ma sztuki, ale żaden podobno kraj dążnością czysto materjalną, przemysłową, kupiecką zarażony, sztuki nie urodzi i potrzeby jēj uczuć nie może. We Francji od czasu jak się poczęła na wzór angielski wyrabiać, postrzegają zupełne ostygnięcie dla dzieł sztuki i literatury... ale na Bursie życie!! Power musiał jechać do Włoch, żeby tam pojąć i stworzyć swą niewolnicę grecką — na ziemi Washingtona powstają koleje, rosną maszyny, wyrabia się kauczuk, tworzą go-

spodarstwa i plantacje, budują miasta... ale nie ma i nie będzie poety i artyści... I my poszedłszy w tym kierunku, do tych samych dojść musimy rezultatów, a obejrzawszy się za siebie gdy wielka reforma utylitarna dokonana już będzie, z pogardą ruszym ramionami na przeszłość naszą! Wiele to heroiczych dzieciństw niezrozumiałemi się nam staną!!

Anna spoglądała na brata niespokojnie, jak by z umysłu chciała go od tych wrażeń odwieść i na inną zwrócić drogę.

— Ty mówisz że to brzydkie, dodała wyglądając oknem — o! ja tego nie powiem — ale że smutne czegoś, to może prawda... ocknąwszy się nagle w tym kątku, rzekłbyś żeś się gdzieś na cudzej ziemi, w Niemczech obudził, takie to nie nasze...

— Bo dla nich jeden świat, jeden człowiek, jeden naród, jedna ziemia, i nie ma poszanowania indywidualności ani narodo-

wości, gdzie jest wyłączna cześć grosza. Nie chodzi o to byś był tym lub owym, ale żebyś pracował, zbierał i stał się kółkiem posłuszném wielkiej maszynie ludzkości, której półowa, jak powiada stryj rotmistrz, będzie robić chustki bawełniane, a druga niemi nesy ucierać. Spójrz no, Anno... drzewa pobocinane żeby w nich nie świergotały wróble, powytrzebiane łązy, poprostowane drogi, poszachowane niełitościwie pola, dymiące fabryk kominy... nie! nie jesteśmy u siebie... nie nasz to ubogi, cichy, ale tak poetyczny kraik... szwabcy nam go przerobili, ani poznać! I gdzież tu w téj atmosferze zmieści się myśl o przeszłości!!

— Mnie tu ciasno, duszno! mówił Michał dalej—jakbym przeczuwał że do życia pełnego brakuje jakiegoś nieodbitego elementu, że fabrykując porządek zrobiono niewelę moralną, że przykuto człowieka do ziemi, a dając mu chleba dostatkiem zapomniano o

żywiółach dla ducha, serca, fantazji, dla lepszéj części człowieka. Taki kraj i takie życie muszą w końcu porobić z nas niemców... Zdaje mi się, nie wiem, ale przeczuwam, że prawdziwy postęp ludzkości, inną mieć będzie podstawę i odmienną fiziognomję, że kosztem ducha, uczucia i wewnętrznej potrzeby piękna, różnaitości, swobody, nie będzie musiał karmić człowieka i porządkować świata. Tłumaczył mi wuj Dembor swoje teorie przyszłości i mrowię przechodziło po mnie, na samą myśl że w tym jego niemieckim świecie żyćby przyszło. Naówczas niktby nie od nikogo nie potrzebował, uczucie nie przydałoby się na nic, bo na wszystkie wypadki stowarzyszenie i assekuracja musiałyby wystarczyć — szłoby wszystko jak w zegarku, przywykliby wszyscy do dobrego bytu... do niezłamanéj formuły... i ziemia stałaby się domem pracy.. klasztorem bez religji i wiary... rodzajen

falansteru czy fabryki... Nie! to coś okropnego! ten ich świat naszym być nie może... czegoś więcej potrzeba człowiekowi nad strawę bydłęcia i grosz żydowski.

— Ja tam tego nie rozumiem — westchnęła Anna, ale może być że się mylimy oboje... przywykli będąc do starego nieładu, zgnuszeni, popsuci...! cały świat idzie ku temu i mylić się nie może.

— A! moja Anno! cały świat nieraz był w błędzie i ślepotcie, nie pierwsza to dla niego omyłka. Ludzie porządku chłodni, praktyczni, rozumni, dali cykułę Sokratesowi, i ukrzyżowali Zbawiciela!... A! niebawmy długo w Demborowie!

— Ale przecie musimy tu czas jakiś, choć dni kilka przebyć z niemi! szepnęła Anna.

Zamilkli oboje; powóz po wyborniej drodze wypreśтовanej jak strzelił, szybko się do dworu przybliżał... Ludzie na widok jego posmutnieli także i szeptali rozmaicie... Iwaś

schował do kieszeni fajkę i w poważnem zamysleniu, powoli przed ganek zakręcił, uważając dobrze żeby kołem nie tknąć gazonu, za co by go przy powitaniu zaraz niechybna spotkała admonicja.

XXIII.

Że to była godzina pracy, w której każdy u siebie się zamykał, mieli czas Anna i Michał wysiąść i pochodzić po saloniku, nim pierwsza pani Demborowa z otwartą naturalnie książką w ręku, i komedją żalu a współczucia najgorętszego, wybiegła na ich spotkanie.

Znać się do odegrania téj roli wczesnym namysłem przygotowała, tak metodycznie odbyło się przywitanie naprzemian skrzapiane łzami, przerywane głębokiem milczeniem, opatrzone stosowną ilością westchnień i tro-

skliwemi zapytaniem o zdrowie, a wreszcie wmięszaniem umyślnie obcemi rzeczami, badaniami o porę, drogę, długość podróży i t. p.

Poważny i zawsze zapieczętowany w sobie jak tajemnicza księga przeznaczeń, pan Dembor porzuciwszy na chwile rejestra i rachunki, ukazał się także w progu niebawem, zimno przyjmując dzieci siostry, raczej jak zwierchnik i władca, niż najbliższy krewny i opiekun.

— Przedewszystkiem obowiązki, rzekł po chwili do Michała — mam pilne bardzo zajęcia. Zobaczymy się przy obiedzie, przygotowano dla was pokoje, znacie życie nasze, każdy tu całkiem swobodny — odpocznijcie, potem pomówimy z sobą. Ciotka was przyjmie, ja ledwie mam czas przywitać... iść muszę...

Posłano po pannę Emilję na sukurs matce, a ta wraz z nieodstępną panią Lully, dosyć nie pospiesznie i z miną wcale nieroz-

czuloną zeszła na pokoje, witając siostrę jak obcą, i zawczasu dając jęj do zrozumienia postępowaniem swojém, że się nigdy zbliżyć nie potrafią.

Emilja z pewną wyższością i politowaniem upokarzajacem spojrzała na kuzynków z góry—w istocie cały świat dzielił ich od siebie — lodowata atmosfera opasywała piękne bóstwo.

Dwoje sierot wychowanych żywem słowem, wypieszczonych sercem, przywykłych do szczerzego mówienia co dyktowało uczucie, dziwnie się wydawały w tym domu gdzie wszystko było obrachowane wedle przyzwoitości, wedle prawa, gdzie nikomu całkiem sobą nie wolno się było pokazać.

Emilja przy Annie wyglądała jak sztyw-
na figurka z magazynu mód przy pięknym
obrazie, coś sztucznego, cudzego, pożyczane-
go, uderzało w nięj i odpychało. Piękna
bardzo, zadziwiającej doskonałości rysów

i kształtów, nie mogła się podobać, bo nie w niej nie zdradzało czem była w istocie, przybraną miała postawę, wyczone ruchy i słowa, zdawała się o to tylko lękać, żeby nie być sobą. Anna przy niej swobodna, ogorzała wieśniaczka, śmiejąca się i płacząca co chwila jak Bóg dał, czem serce wezbrało, żywa, nie wymuszona, szczerą, nie ukrywającą się z niczem, nie obawiającą siebie—jak istota z krwi, ciała i ducha przy drewnianym posążku, wydawać się musiała obok siostry. Michał nie umiejący także przymusić się do dobrego humoru gdy był smutny, milczał z sercem ścieśnionem od chłodu.

Tymczasem pani Demborowa która nikogo wypuścić nie mogła, żeby przed nim nie rozpostarła się z wielkością swoją, już zaraz, niby przypadkiem, półsłowami poczyniała opowiadać z pełności myśli, to co domowi po stokroć wprzód słyszeli, a co na świeżo przybyłych pewne wrażenie uczynić jeszcze mo-

gło. Skarżyła się na nawał prac literackich, na nieznosne naleganie księgarzy i wydawców, na ciężkość posłannictwa swego, na niestanunny trud w którym żyła, na obowiązki jakie zaciągnęła dobrowolnie, i wzdychała do potrzebnego dla zdrowia spoczynku, choć wyglądała jak róża; świeżo i rumiano. W ten sposób zaraz na wstępie, odmalowała się przed gośćmi swemi w dosyć dobitnych barwach, ażeby ją ani na chwilę za pospolitą kobietę wziąć nie mogli.

Anna słuchała w milczeniu, Michał chmurny i niespokojny, Emilja w pół uśmiechnięta i roztargniona — dla niej było to nie nowe!

Tymło tylko nie przychodził — nikt bowiem nie śmiał zapukać do ogrodowego domku i oznajmić mu o przybyciu krewnych, do których nie miał powodu się śpieszyć.

On właśnie od dni kilku ważył i przeważał myśl ojcowską, ujęcia w silną dłoń interesów i gospodarstwa Anny i Michała.

zajęcie to chwilami zdawało mu się uśmiechać, gdyż ojcowski sposób zarządzania dobrami uważał jeszcze za mało postępowy, i rad był pokazać co może, ale gospodarować na cudzém, na tak niewielką skalę!! Nie tyle praktyczny co ojciec, dłużej pobytem za granicą kształcony Tymlo, nie pojmował kraju inaczej jak od razu przerobionym ze staréj kapoty na nowe palto lub makintosh angielskiego kroju. Ostatnim wyrazem doskonałości było dlań wszystko angielskie — według niego rasę koni potrzeba było przerobić na angielską, naszego wieśniaka na anglika, szlachcica na fermiera, naszych panów na baronetów i bankierów, pola na fermy, dwory na kastle i kotedże, i dopiero byłoby dobrze.

Póki się to nie zrobi, dodawał, zawsze źle być musi.

Chciało mu się więc trochę Porzecze przekształcić wzorowie, z gruntu przetworzyć

na dobra czystą angielską urządzone metodą, zaprowadzić w nich fabryki, podrenować grunta, Durhamskiej rasy bydło sprowadzić z Anglii i t. d. i t. d., ale żądza pokazania co umie, walczyła w nim jeszcze ze wzdargą dla kraju i tą myślą że jego wielki gienjusz sponiewierałby się zniżając na tak małą próbkę. Co najmniej potrzeba mu było dać, ministerstwo gospodarstwa i przemysłu...

Jak ojcu, Tymłowi nie szło z serca o poprawienie losu sierot, a tak bliskich krewnych, — Starszy rachował własne korzyści któreby się z ich korzyścią pogodzić dały, młodszy zwycięztwo swoich teorii i tryumf miłości własnej.

Ale Dembor mimo zajadłego popędu do tego co nazywał ulepszeniem, dosyć znał kraj i wiedział ile reform z dobrym skutkiem wytrzymać może, gdy Tymło całkowicie z nim nie obeznany, brał naszą ziemię za amery-

kańskie stopy dziewicze, w których można było robić co się podobało, i pisać jak na gołej tablicy.

Ludzie, ich obyczaje, przeszłość, nawyki, wspomnienia, upodobania, nie wchodziły wcale w jego rachunek—radykałista, byłby krajał po kawałku ziemię i chłopów, byle swój system przyprowadzić do skutku. Gdyby mu stary Duninowski kościół lub przedwieczna mogiła wypadły wpośrodku łąnu, byłby je obalił i rozkopał dla nieubłaganej linji lub skrócenia drogi fabrycznej—gdyby mu płakał człowiek, byłby go jak dziecko ominął z pogardą, sądząc że do tego wszystkiego daje mu prawo, to co robi dla przyszłości kraju i jego szczęścia.

W téj chwili zajęty był właśnie marzeniem reformy, wywracaniem wiosek i odbudowywaniem ich podług nowego wzoru, gdy psy jego zdaleka posłyszawszy powóz,

ujadać zaczęły i zwróciły uwagę jego na szmer jakiś koło domu. Zniepokojony szczeniem, postanowił się przekonać co ich tam tak gniewało, i wzięwszy czapkę, poszedł do dworu.

XXIV.

Wejście tego anglika na salę, zmieszało wszystkich prócz niego, domyślił się krewnych których prawie nie znał a całkiem zapomniał, podał rękę Annie, wyciągnął ją Michałowi i wpatrzył się w oboje z niedyskretną i prawie pogardliwą ciekawością. Niepotrzebujemy dodawać że Anna wydała mu się shoking, a Michał bardziej jeszcze, poglądał na nich jak na dzikie zwierzęta, przywiezione z Australji, i milczał.

Sprobowali przemówić do siebie, ale się zrozumieć nie mogli — ci jego że mówił za

mało, on ich że nazbyt szczerze i otwarcie się odzywali, z tą swobodą która na świecie nie uchodzi, gdzie każdy obowiązany jest jak ślimak w skorupce, chować się w sobie i niepokazywać tylko tyle ile wszyscy. A że miara wedle której urządzono to co mówić i czynić wolno bardzo umiarkowana i niewielka, nie dziw że i głupiec do niej zastosowując się, wychodzi na coś przyzwoitego, i mądry na miernego tylko — a serc w tém wszystkim, ani mniej, ani więcej, tylko doza uchwalona i nikogo nie kompromitująca.

Anna, wydała się Tymłowi, przynajmniej oryginalną, Michał czemś anormalnem, i dziłością przestraszającym. — Gada co myśli! wszystko co mu przyjdzie do głowy! zawołał w duchu anglik. *S h o k i n g!* — Dziecko! szalony! może się to ukształcić, jeśli nas słuchać będą, ale potrzeba rozpocząć na nowo ich wychowanie.

Po summaryjnem śniadaniu podaniem na

tafach ogromnych z wielką prozopopeją, wnoszonem i wynoszonem uroczyście, a skąpem co do treści i niezbyt wykwintnem, choć pozornie jakoś tak urządzonem, że nie wiedzieć do czego się było wzięść, gdyż wszystko miało fizjognomią nową i obcą, począwszy od masła aż do chleba — sama pani Demborowa odprawiła dzieci do dwóch pokoików połączonych salonikiem wspólnym, przeznaczonych dla nich na mieszkanie.

Tu nareszcie po godzinie ciężkiego przymusu odetchnąć mogli swobodniiej, a Anna widząc sposepniałą twarz brata, pośpieszyła przybiedz doń, z pociechą, gdy zostali sam na sam.

Michał z opuszczonemi rękami siedział bezwładny w krześle, jakby go coś przybiło i odebrało mu resztę energii i życia.

Z za łez kręcących się pod powieką, rozśmiała mu się Anna.

— A! nie nasz to świat, rzekł powoli ar-

tysła z westchnieniem głębokiem, nie pogodzimy się my z nim nigdy, nie potrafimy z nim wytrwać, nie ma dla piersi czem odetchnąć... to coś okropnego... Uważałaś ciotkę, wuja, Emilję i Tymoleona... jakim nas przyjęli chłodem.

— To pozór, kochany bracie, serca ich pocziwe, obyczaj tylko inny.

— Mówisz dla pociechy mojej, w co sama nie wierzysz Anno... zabiło ci serce do Emilji. to ładny obrazek... a Tymlo... jakiś straszliwy anglik, a wuj... a! uciekajmy ztąd, uciekajmy!

— Nie drogi Michale – nie, potrzeba wytrwać... nauczymy się przecie czegoś, nie wszystko to może tak dziwne i złe jak się nam na oko wydaje... zyskamy coś w zbliżeniu do nich. Tobie artyście brak tu żywiołu, fantazji której nielitościwie poobcinano skrzydła.

— Ale ja nie chcę być innym jak jestem,

oparł się Michał żywo, ani się przemienić. ani stracić z duszy tego uczucia jakie w niej noszę... chcę być sobą, i nie pragnę wcale zafarbować się niemi.

— Zobaczysz, oswoisz się, pieszczoszkę, jutro cię to już tak razić nie będzie, myśmy niesprawiedliwi i trochę ślepi.

— A oni nudni Anno... śmiertelnie nudni.

-- Ale jak praktyczni, każdy w swoim rodzaju! rozśmiała się cichutko siostra, udając głos rotmistrza.

Dzieci miały czas odpocząć do obiadu, na który zadzwoniono o czwartej, by się wszyscy schodzili, bo na nikogo prócz samego gospodarza nie czekano ani minuty. Ubrawszy się skromnie Anna i Michał, zeszli do sali pośpiesznie, gdzie na nich już czekał stary Dembor, pani domu niezmiernie wyświeżona, Emilja, Lully i Tymlo, który po swojemu choć chwilkę się przypóźnić musiał i wszedł razem z niemi. Zasiedli wszyscy

natychmiast, wśród rozmowy powszedniej, w której najmniej sam gospodarz miał udziału, głęboko jakoś zamyślony i uparcie milczący.

Tymlo który zrana konie swoje przejeżdżał, przyszedł w dosyć złym humorze, a na zapytanie ojcowskie o stajni, odpowiedział nie troszcząc się że goście go nie rozumieją, iż Trilby zachorował, Oliwer Twist czegoś smutny i nie je bobiku, Miss Seraphina, rzuciła ujeżdżającego ją dżokeja, a Grumble pić nie chciał.

Michał i Anna słuchali naturalnie jak niemieckiego kazania, całego tego sportu.

Dość zresztą milcząco przeszedł czas obiadowy, przybyli nasi nie mogli ani na chwilę wytrwać na zwykłym stanowisku mieszkańców tego domu, gospodarze zrozumieć się z niemi, nie pojmowano się wzajemnie. Dembor starszy miał tyle taktu, że mało się odzywał, Tymlo sportmanował i po angielsku

z panią Lully szwargotał o podróżach; a że śmieli, miało to minę jakby drwili z gości, którzy tego języka nie znali, Emilja ledwie rzuciła niekiedy półsłówkiem, pani Dembrowa karmiła literaturą, Lully uśmiechała się i kręciła usiłując o ile możności zwrócić uwagę na kibić swoją, na którą nikt jednak nie patrzył, ażeby się z twarzą razem nie spotkać...

Wstali wszyscy pomęczeni, a po czarnej kawie, na srebrnej tacy ale szkaradnej, Emilja wyszła na ganek próbując czemś zabawić Annę, Michała wziął sam pan Dembor do kątki w salonie. Dla niego każda chwila była drogą, musiał z niej korzystać, i chciał zaraz nie tracąc czasu pomówić o interesach.

— Co myślicie o sobie, i jaka była wola waszjej matki, w dalszém prowadzeniu interesów? zapytał go wlepiając w nią przeszywające chłodem wejrzenie gospodarz.

Michał nie wiele mógł na to odpowiedzieć bez siostry—była to zresztą natura najniepraktyczniejsza w świecie, marzyciel, artyśła, któremu mrowie przechodziło po skórze, gdy liczyć i na zimno coś układać musiał. Zmieształ się nie pomału, i rad był że na starszą od siebie Annę mógł się powołać.

I spojrzał ku niej wzywając ratunku.

Jakby przeczuciem wiedziona Anna, zbliżała się już ze swoim słodkim uśmiechem, w pomoc zakłopotanemu bratu—zawsze przywykła wszelki ciężar wspólny brać na swoje ramiona—wcześnie przygotowaną była na odpowiedź wujowi, i jadąc do Demborowa, przesiadywała w papierach dni kilka dla oswajania się interesami Porzeczeńskimi.

Zdziwił się pan Dembor, gdy ją przy sobie zobaczył, śmiało przystępującą do tego co mu dla niej niedostępnem się zdawało.

— Michał tyle wie ile ja — ale, przerwała

Anna — jego to męczy, i nie dosyć przywykł do interesów, bo mama biedna, oszczędzała go, dając mu więcej swobody do jego zajęć artystycznych, do których ma taką ochotę. Mnie — dodała, nie pojmuję prawdziwie, czemu się to dzieje, ale to dosyć zajmuje i bawi.

Kłamała przez miłość braterską.

— A zatem, nieznacznie się uśmiechając, przerwał Dembor, ty mi chyba interesa wasze trochę wytłumaczysz, w jakim one stanie?

— Tak, i ja i Michaś ze mną, on to tak dobrze jak ja wie już, kochany wuju.

— Wiele macie długów? przerwał nielitościwy badacz, zakładając po napoleońsku ręce na piersi.

— Mamy towarzystwo na całym majątku — odparła Anna, nadpłacone jak wujowi wiadomo, prócz ostatniej raty która zaległa.

— O! o! źle że zaległa.

— Śmierć mamy.

— A więcej?

— Sto tysięcy jeszcze jest w jedną rękę prywatnego długu, a trochę drobnych... ale tych policzyć nie mogłam.

— A szacunek majątku?

— Tego ja wujowi nie powiem, bo się na tem nie znam, ani Michał także...

— Miarkując z towarzystwa, nie wiele wam zostało, rzekł powoli spekulator, towarzystwa parę kroć, sto prywatnych które się nieumarzają, może drugie sto drobnych o których dobrze nie wiecie... bardzo wam mało zostanie czystego.

— Dla nas dwojga, zawołała Anna — tyle co mama miała, kochany wuju, to aż nadto! nam wiele nie potrzeba... na cóż nam więcej?

— Dzieci! uśmiechnął się chłodno pan Dembor, alboż może być nadto majątku! No! ale nie ma czego rozpaczać, przy silném gospodarstwie i oszczędności wyjść byście z tego mogli!

— Matka nasza, odezwała się Anna, wzięła

interesa po ojcu w daleko gorszym stanie — spłaciliśmy parękroć sto tysięcy oszczędnością.

— Można było spłacić wszystko i jeszcze się dorobić, przerwał Dembor — majątek prześliczny, powiem wam nawet że szacunek jego daleko jest większy, niż się dziś zdaje, byleby umiejętnie wziąć się do niego. Na to potrzeba człowieka fachowego. Matka wasza nigdy mnie w tém słuchać nie chciała, a u nas reformy konieczne, jeśli się co ma zrobić. Fabryki, płodozmian, nakład, ruchomy kapitał, słowem wszystko co ożywić może, a pracy nie mało w dodatku i wyrachowania jak największego.

— Ale Michał, kochany wuju, nie usposobił się na takiego gospodarza, z praktyki tylko daje sobie rady, ochoty do agronomji postępowej nie ma wcale, szepnęła Anna, pilnując porządku, reformować nie potrafi.

— A do czegoż się sposobił? z uśmiechem znowu zapytał Dembor, jakby nie wiedział.

— On chce być artystą!

Z politowaniem spojrzał wuj na upokorzonego siostrzeńca, który głowę spuścił jak winowajca.

— Artysta! powtórzył powoli — cóż to jest artysta! On! artystą! Może sobie lubić to co wy nazywacie sztuką, to sobie zabawka jak inna, choć ja jęj nie pojmuję po latach dwudziestu w rozsądnym człowieku — no! ale są ludzie co się tem bawią... po cóż jednak sam ma być artystą! Do czego to prowadzi! Jego przeznaczeniem rola, gospodarstwo, przemysł,—przyszłością obywatelstwo... a jak będzie bogaty, niech sobie powoli obrazki kupuje.

— Alboż artysta nie jest użytecznym w kraju obywatelem? zapytał Michał żywo, ośmielając się już, bo mu wrzało w duszy.

— Ja z tego stanowiska sztuki nie pojmuję, rzekł Dembor — sztuki to zabawka narodów dziecienniałych i starych, my mamy

inne powołanie i pilniejsze obowiązki przed sobą. Kraj nasz ubogi (?) wszystko w nim leży odłogiem, potrzeba wprzód postarać się o dobry byt dla siebie i dla ludu, a potem — no! to się sobie bawić będziemy sztuką! Zresztą, dodał, pojmuję artystę jak Canova, Thorwaldsen, jak Winterhalter i Scheffer, którym płacą po kilkadziesiąt tysięcy franków za kawałek kamienia i płótna — no! to przynajmniej dobrze skapitalizowany czas, ale artysta w kraju tylko ukształcony, mierzny, artysta amator! co to to jest!

— Kochany wuju,—zawołał Michał ciągle wrzący—tu chodzi nie o los dla artysty, ale o uczucie artystyczne które go podnosi, uszlachca, kształci i z nim cywilizuje tych co go otaczają... Artysta jest kapłanem, a przez pojęcie i uczucie piękna, więcej się czyni dla ludzi, niż przez danie im dobrego bytu!

— Słowa! słowa! dzieciństwo! Michale!

przerwał pan Dembór surowiej, cała rzecz, pozwól sobie powiedzieć szczerze, że nie lubisz pracy. Daruj mi że ci tak ostrą mowę prawdę przy pierwszém spotkaniu, matka ci nadto dogadzała i pieściła, ja muszę naprowadzić na drogę... Artysta nie nie znaczy na świecie, to prowadzi do ruiny i próżnowania.

Rumieniec wytrysnął na twarz Michała, który porwał się z siedzenia jak wrzątkiem oblany.

— Kochany wuju, rzekł chwytając go za rękę, nie sądz by mi jakiegokolwiek rodzaju praca i poświęcenie kosztować miały, bym się wzdrygał obowiązków i chciał życie gnuśnie przemarzyć, dla tego żeby mi z tém słodziej i miliej być mogło! Właśnie to potępione uczucie które mnie czyni artystą w duszy, usposabia razem do chętniej ofiary... wskaż mi cel, a pójde i życie poniosę w ofierze. Ale cel wiedzieć muszę i wziąć do serca.

— Dziecko! odparł Dembor sadzając go na miejscu — alboż nie widzisz celu? Jakież inny cel człowiek mieć może, nad polepszenie bytu swojego i bliźnich?

— Jakto, kochany wuju? — polepszenie bytu moralnego, zgoda...

— Moralnego zapewne! ale naprzód materialnego, bośmy przez pół ciałem, i ciałem więcej niż duchem. Najprościej ci tego dowiodę, gdzie panuje nieład, nędza, ubóstwo, tam nic dobrego moralnie nawet być nie może, nic stałego, żadnej przyszłości...

— Ale naprzód idzie polepszenie moralnego bytu... a tu...

— Nie naprzód moje dziecko, razem, a raczej materialny byt dobry winien wyprzedzać. Snicie o cywilizacji, ale ona spoczywa na dobrym bycie.

— Mnie się zdaje odparł Michał, że nigdy większa na korzyść moralną nie została spełniona reforma, jak dziełem odkupienia!

Chrystus przecie nie począł od bytu materialnego społeczności, zaszczerpił ducha ofiary naprzód, podniósł ją do poświęcenia.

— Słowa! dzieciństwa! poczja! co innego tamta a dzisiejsza społeczność.

— Ludzie zawsze są ludźmi.

— Próżnobyśmy rezonowali, rzekł Dembor trechę urażony śmiałą djalektyką siostrzeńca... niezrozumiemy się nigdy... Tobie zawsze zachciewa się sztuki po cichu... ale i dla sztuki nie ma miejsca, gdzie chleba powszedniego omal..

— Wszakże ani nam, ani nikomu z ołaczających nigdy go nie brakło.

— Cóż to jest za dobry byt! szydersko przerwał Dembor, zaspokojenie pierwszych potrzeb niczem jest jeszcze... to zaledwie początek. Dla czegoż nie mamy się starać, by temu wieśniakowi dać zasmakować w czemś lepszym nad to do czego on przywykł?

— Nawyknienie do zbytkowych potrzeb

nie uszczęśliwi go, rzekł Michał—lepiej dać mu ducha co szczepi pogardę niedostatku, i daje siłę zwyciężenia ubóstwa, niż grosz, który budzi pragnienie nienasycone.

— Gdzież będzie granica starania? kiedy dosyć? — nieśmiało przemówiła Anna w obronie brata.

— Granicy tu nie ma, zawołał wuj—postęp bez końca, praca bez końca.

— A kiedyż przyjdzie czas spoczynku, modylitwy i sztuki?

— Wyście, moje dzieci, z całkiem innego świata, przerwał Dembor — przywykłe żyć samą karmią niebieską — wam to trudno inaczej wytłumaczyć jak przykładem. W wielkim ogromie ludzkości, której przeznaczeniem zlać się w potężną całość, kto wie czyśmy nie na ostatnim szczeblu, patrzcie na Europę, na Amerykę, co ulepszeń, jaki byt, jaka pomysłność materialna! nie jestże to

do zazdrości! Jest tam sobie i trochę sztuki i literatury i poezji, ale...

— Tak, ale czyż wuj nie postrzega, że to wszystko we Francji, w Ameryce, w Anglii, przechodzi powoli w towar, w wyrób, na zakaz i handel, a cała społeczność w spółkę komandytową?... We Francji już skarżą się na zobojętnienie zupełne na literaturę i dzieła sztuki... w Ameryce gorzej jeszcze. Zamiast literatury są pamiętniki Barnuma, zamiast dramatu, popisy Jenny Lind, zamiast sztuki, gabinety machin parowych... zamiast poezji, gazety. Wyrazem tego społeczeństwa którego bóstwem jest grosz, a jedynym celem z bogacenie, Mormonizm jakiegoś Smith'a parodjującego ewangelję. Zamiast religji, zamiast filozofji, patetyczne wykrzykniki Emmersona sławiącego najwyższy egoizm, w miejsce najwyższego poświęcenia i stawiającego jednostkę odrębną gdzie była całość — zamiast literatury gazeta i pamiętniki nie-

śmiertelnego króla Humbugu... oto do czego doszła indusjonalizm i materjalizm Ameryka.

Dembor popatrział na nich i zatrzymał się.

— Nie rozumiecie mnie i chyba już nigdy nie zrozumiecie moje dzieci, rzekł odciągając rozmowę. Nie podniesiemy się inaczéj ze stanu upadku w jakim zostajemy, tylko pracą wytrwałą, z szalów i niepraktyczności ogólnej, chyba przemysłem i zimnego rozsądku parawanem za któremi w ślad pójdzie oświata, cywilizacja...

— Ale czyż cywilizacja ta materjalna zachodu na którą on sam boleć zaczyna, jest tak do zazdrości? rzekł Michał.

— No! dajmy temu pokój, zakończył wuj.

Ani Michał ani Anna nie śmieli dalej przeciągać urwanéj rozmowy i umilkli z poszanowaniem. Po chwili Dembor powrócił do pierwszego zadania.

— Cóż tedy robić myślicie? zapytał.

— Choć lubię sztukę, ale spełnić obowiąz-
zek, rzekł Michał, będę gospodarował sta-
rając się powoli o ulepszenie, mam nadzieję
poołacać długi, podnieść stan majątku, chcę
to jednak uczynić nie zmieniając ani trybu
jakim u nas szło gospodarstwo wiekiem, ani
obyczajów ludu, które on i ja szanujemy za-
równo, ani przedewszystkiem zakładając so-
bie samo polepszenie materialnego bytu. Je-
śli potrafię poprawić moralnie, dobry byt,
i dostatki wynikną same z siebie; przeciw-
nie robią zdaje mi się...

— Fałszywie bo ci się zdaje, zawołał Dem-
bor już z niecierpliwości ruszając lekko ra-
mionami, co mu się rzadko trafiało — to są
utopje dziecinne, nam potrzeba reform ra-
dykalnych...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

7
Biblioteka Raczyńskich

JK 1592



JK1592